

24 strony

W numerze m. in.:

Lesław Bartelski, Zofia Bystrzycka, Jan Maria Gisges, Jan Górec-Rosiński, Gerard Górnicki, Jan Huszcza, Anna Kamińska, Tadeusz Klak, Jan Koprowski, Czesław Kuriata, Ryszard Liskowacki, Władysław Machejek, Stanisław Misakowski, Stefan Otwinowski, Henryk Panas, Jan Parandowski, Marian Pilot, Włodzimierz Sokorski, Bolesław Soliński, Anna Tarkiewicz, Leonard Turkowski, Melchior Wańkiewicz, Witold Zechenter.

ROK ZAŁOŻENIA 1933

KAMENA

LUBLIN 8 IX 1974 Nr 13 (556)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 4 ZŁ

SESJA PISARZY W LUBLINIE

TRZYDZIEŚCI lat temu tu, w Lublinie, nastąpiła reaktywizacja Związku Literatów Polskich. W tym mieście dnia 3 września 1974 roku odbędzie się Jubileuszowa Sesja Pisarzy. Dwie daty, które towarzyszą życiorysowi Polski Ludowej, jak towarzyszy jej twórczość pisarska obrazująca osiągnięcia i trudności tych lat.

Nie sposób w ciągu jednego dnia omówić najważniejszych choćby zagadnień literatury trzydziestolecia, dlatego program sesji nie pod tym kątem został pomyślany. Ma być ona okazją do bezpośredniego kontaktu przedstawicieli środowisk pisarskich z całego kraju, a przede wszystkim sposobnością do refleksji dla tych, którzy kładli tu podwaliny pod zorganizowane życie literackie. Inni — choć lubelskiego pochodzenia w swych biografjach nie posiadają — z równą ochotą wezmą udział w spotkaniu. Będzie to coś w rodzaju „wizji lokalnej” początków odrodzonej literatury w powojennej Polsce.

Zmieniło się? I tak i nie. Pozostał budynek, w którym mieściła się redakcja „Odrodzenia” nawet dzisiaj w wyjątkowo niewiele różniąc się od tamtego sprzed lat trzydziestu, nie ma natomiast pałacyku przy ulicy Dymitrowa (wówczas Radziwiłłowskiej), gdzie odbyło się pierwsze, założycielskie zebranie („zjazd” jest tu terminem umownym) Związku Literatów Polskich. Śródmieście Lublina tylko trochę zostało zniszczone przez wojnę, tak więc nie uległo gruntownej zmianie w procesie urbanistycznym. Przybyli pisarze trafiają na tę samą topografię, dzięki czemu wywołują w pamięci niejedno z odbytych tu spotkań, niejedną z dyskusji i wspólnie podjętych inicjatyw. I to się też nie zmieniło. Zarówno oni — pierwsi organizatorzy ZLP, jak i Lublin — dumny ze swej roli pierwszej siedziby naczelnych władz, zachowują w pamięci to ożywienie początku, które w tych miejscach zostawiło swoje echo.

Jesteśmy radzi gościom będącym równocześnie reprezentacją współczesnego polskiego pisarstwa, a do okoliczności natury emocjonalnej dołączamy pewność, że to wydarzenie przyniesie naszemu miastu skutek w postaci ożywienia życia literackiego.

„Kamena”, która partycypuje w zajęciach Sesji, a jest — dodajmy samochwalczo — najstarszym piśmie społeczno-kulturalnym w Polsce, pragnie ze swej strony maksymalnie przydać się uświetnieniu powyższej uroczystości. W bieżącym numerze otworzyliśmy łamy pisma przede wszystkim pisarzom spoza Lublina, by w ten sposób dać wyraz naszej satysfakcji z możliwości goszczenia ich w naszym mieście.

Witajcie w Lublinie, by wspólnie powitać dalsze — po trzydziestolecie — lata rozwoju literatury polskiej.

Ryszard Liskowacki

NA ŚMIERĆ WIERSZA KTÓRY UMARŁ PRZED NARODZENIEM

Za moją wodę, której nie wypiję,
bo mi odjęto od ust źródło czyste
i za ostatnią wieczerzę poezji,
gdy Judasz pełnił honory przy stole...
Za metafory pieczone na różnie
opłakiwane bardzo młodym winem
z którego tylko nadkwasota serca,
lub — co jest gorsze — arytmia poezji,
niedotlenienie najświętszego słowa,
lub — co jest gorsze — zapach tej nadziei
z której dopiero wiersz miał powstać przecież.
Ten niepoczęty — kim mógłby być jutro?
Miałem dla niego imię bardzo męskie,
strój miałem męski dla niepoczętego,
już mu przyjaciół szykowałem grono,
już mu organy stroilem do śpiewu,
już mu kupiłem polski elementarz,
aby się uczył od złego początku,
do złego końca, aby wiedział wszystko,
co trzeba wiedzieć, by już nic nie wiedzieć.
Od A — jak Adam, do Z — jak zabawa,
od A — jak przyjaźń, do Z — jak nienawiść
Ten niepoczęty — kim mógłby być jutro?
Z krwi mojej przecież i z mojego łęku,
z głupiej przekory, z jeszcze głupszej zgody,
z krwi mojej przecież i z mojej ucieczki,
z nadśluchiwaniami, z ciszy i powrotów,
ten niepoczęty — kim mógłby być jutro?
Może ofiarą ostatniej wieczerzy,
A może byłby poezji Wstąpieniem
A może ... dosyć. Pogrzeb będzie krótki
i symboliczny, bo wiersz nie było,
bo umarł mądrze zanim się narodził,
w tym dniu ostatniej wieczerzy poezji,
gdy Judasz pełnił honory przy stole.

Jan Koprowski

WIATRAKI

Głną wiatraki w Mogilanach,
Jagłowniku i pod Niechorzem,
Złotowskie skrzydła czas polamał,
Troszków od dawna nie sypie zbożem.

A te wiatraki, co jeszcze całe,
zmieniamy w knajpy i gospody,
gdzie zamiast wiatru dzwonią gitary
i izby śmiech rozsądza młody.

Już Don Kichoci się wynieśli
do krain zaludnionych snami.
Bo cóż po Don Kichotach, jeśli
nie mogą walczyć z wiatrakami?



Rys. E. Inglot

Anna Kamińska

MATKI

Zebrałi się ludzie z wielu krajów
Patrzę na nich
i widzę za nimi ich matki
Każda stoi za krzesłem
niewidzialna jak prawda

Stoi stara arabska kobieta
jest biedna i jakby zdziwiona
że obcy otyły człowiek jest jej synem
ma ciemne dłonie które umieją piec placki
i które kiedyś klaskały w tańcu
Widzę drobną bułgarską staruszkę
całą w czerni i w czarnej chuście
jej plecy były zawsze zgięte
świętą cyrylicą zapisana jej twarz
Widzę matkę młodego Niemca
była dobrą żoną
nie uwierzyła kiedy dowiedziała się prawdy
tylko uśmiech zastępnym na jej wargach
Matka Rosjanina była pokłony w cerkwi
całowała posadzkę i żegnała się prochem ziemi
potem zawstydzona się swojej ciemnoty
dreptała cicho wokół stołu
krzątała się nie wiedząc po co
Widzę też moją matkę
która posiwała jednej nacy
i oplakiwała wszystkie swoje dzieci
śmiertelną utratę wiary
i tak bardzo nie chciała umierać

Matka jest światłem nad każdą głową
Gdyby one stąd nagle odeszły
zostałyby tu same puste krzesła

W 35 rocznicę hitlerowskiej agresji na Polskę Z DOKUMENTÓW

1939

22 SIERPNIĄ. Z przemówienia Hitlera na odprawie z wyższymi dowódcami armii w sprawie rozpoczęcia ataku na Polskę:

Zniszczenie Polski jest naszym pierwszym zadaniem. Celem musi być nie dotarcie do jakiejś oznaczonej linii, lecz zniszczenie żywej sily. Nawet gdyby wojna miała wybuchnąć na Zachodzie, zniszczenie Polski musi być pierwszym naszym zadaniem. Decyzja musi być natychmiastowa ze względu na porę roku.

Podam dla celów propagandy jakąś przyczynę wybuchu wojny, mniejsza z tym, czy będzie ona wiarygodna, czy nie. Zwycięzcy nikt nie pyta, czy powiedział prawdę, czy nie. W sprawach związanych z rozpoczęciem i prowadzeniem wojny nie decyduje prawo, lecz zwycięstwo.

Bądźcie bez litości. Bądźcie brutalni. Osiemdziesiąt milionów ludzi musi otrzymać to, co im się należy, należy im się zapewnienie egzystencji. Prawo jest po stronie silniejszego. Trzeba postępować z maksymalną surowością.

Konieczna jest szybka decyzja, niewzruszona wiara w żołnierza niemieckiego. Zalamanie jest możliwe jedynie wówczas, gdy zawiodą nerwy przywódców.

Pierwszy cel to dojście do Wisły i Narwi; nasza przewaga techniczna załamie nerwowo Polaków. Każda nowa armia polska, która się pojawi, winna być natychmiast zdruzgotana; wojna musi być wojną zniszczenia.

1 WRZEŚNIA. Meldunek komendanta Westerplatte, mjr. H. Sucharskiego do Dowództwa Marynarki w Gdyni:

Pancernik Schleswig-Holstein rozpoczął o godz. 4.45 ostrzelanie Westerplatte z wszystkich dział. Bombardowanie trwa.

Z proklamacji Hitlera do armii niemieckiej:

„Armia niemiecka będzie z całą stanowczością walczyć nieugięte o honor i żywotne prawa odrodzonych Niemiec. Spodziewam się, że każdy żołnierz, pomny wielkich tradycji odwiecznych cnót żołnierskich Niemiec, będzie zawsze świadom, iż reprezentuje Narodowo - Socjalistyczne Wielkie Niemcy. Niech żyje nasz lud, niech żyje nasza Rzeczpa.

Depesza min. J. Becka do amb. E. Raczyńskiego i amb. J. Lukaszewicza z żądaniem natychmiastowej pomocy sojuszników dla Polski:

1. Proszę Pana Ambasadora o zawiadomienie Rządu, przy którym jest Pan akredytowany, że pomimo współpracy w polskiej inicjatywie W. Brytanii, znanej rządom alianckim, wojska niemieckie zaatakowały o świcie terytorium polskie, zaś jednocześnie lotnictwo bombardowało wiele miejscowości.

2. Rząd Polski zdecydowany bronić niepodległości kraju i honoru Polski do końca, wyraża przekonanie, że zgodnie z istniejącymi traktatami otrzyma w tej walce natychmiastową pomoc aliantów.

2 WRZEŚNIA. Z komunikatu rządu RP w sprawie agresji niemieckiej przeciwko Polsce:

W dniu wczorajszym wojska niemieckie lądowe i powietrzne dokonały aktu agresji przeciw Polsce, atakując na całej długości granicę polsko-niemiecką.

W swoim wczorajszym przemówieniu kanclerz Hitler zapowiedział kontynuowanie walki.

Naród polski przyjmuje tę walkę w sposób godny jego wojskowych tradycji.

3 WRZEŚNIA. Z okólnika min. G. Bonneta do zagranicznych placówek dyplomatycznych akredytowanych przy rządzie francuskim w sprawie natyfikacji stanu wojny między Francją a Niemcami:

„Ogromny wysiłek Rządu Republiki Francuskiej i Rządu Brytyjskiego, aby przez zaprzestanie agresji utrzymać pokój, spotkał się z negatywnym stanowiskiem Rządu Niemieckiego.

W wyniku więc agresji przeciwko Polsce, zaistniał począwszy od 3 września 1939 r. od godz. 17 stan wojny między Francją a Niemcami.

6 WRZEŚNIA. Raport francuskiego amb. W. Bullitta do sekretarza stanu w sprawie bezczynności sojuszników Polski:

Ambasador Polski skierował do mnie dziś wieczorem głęboko wzruszający apel o natychmiastowe sklonienie prezydenta do złożenia protestu przeciwko bombardowaniu otwartych miast Polski i cywilnej ludności.

Ambasador Polski powiedział, że francuski Sztab Generalny wyznal dziś jego attaché wojskowemu, iż trzy czwarte armii niemieckiej i trzy czwarte niemieckiego lotnictwa wojskowego atakuje Polskę. Mimo to Francuzi i Anglicy nie zaatakowali jeszcze Niemiec.

Z powodu tej bezczynności Polska znalazła się w rozpaczliwej sytuacji...

11 WRZEŚNIA. Z depeszy rumuńskiego posła W. Fabriciusa do ministerstwa spraw zagranicznych Rzeszy w sprawie internowania rządu polskiego w Rumunii:

„Żołnierze polscy będą rozbrajani i internowani w głąb kraju. Członkom Rządu zabroni się wszelkiej aktywności, włącznie z używaniem radia, czy międzynarodowych linii telefonicznych.

21 WRZEŚNIA. Fragment aide-mémoire rządu rumuńskiego do rządu polskiego w sprawie decyzji o internowaniu rządu RP:

„Ponieważ wypadki wojenne potoczyły się szybko, Prezydent Mościcki i członkowie Rządu przeszli razem, w grupie, na terytorium rumuńskie w ciągu nocy z 17 na 18 września.

„Jeszcze w czasie pobytu w Czerniowcach, Prezydent Mościcki wydał orędzie do narodu polskiego... W tym orędziu Prezydent Rzeczypospolitej między innymi oświadcza: „...powziąłem decyzję przenieść siedzibę Prezydenta Rzeczypospolitej i władz centralnych Państwa do jednego z krajów sprzymierzonych. W tym nowym miejscu będą mogły one, w warunkach zapewniających ich suwerenność, czuwać nad sprawami Rzeczypospolitej i prowadzić dalej wojnę u boku naszych sprzymierzeńców”

Rząd Rumuński znalazł się wobec aktu, który sprzeciwiał się jego neutralności. Zgodził się na okazanie gościnności na swym terytorium lub ułatwienie przejazdu do kraju neutralnego uchodźcom politycznym. Niemożliwe zaś było dla niego dopuścić, by na jego terytorium wykonywane były czynności Rządu. I to tym bardziej, że przez tę czynność Rządu wyrażona została publicznie decyzja członków Rządu, który schronił się do Rumunii... „prowadzić dalej wojnę”. Czyn podobny sprawił, niestety, niemożność rozwiązania problemu przejazdu przez terytorium neutralne. Prawo międzynarodowe — w braku ścisłych tekstów i formalnych precedensów — może być interpretowane jedynie na podstawie ogólnych zasad. Otóż zasadą pojęcia neutralności jest nie popelnienie żadnego aktu, który mógłby się przyczynić do faworyzowania jednej ze stron wojujących.

29 WRZEŚNIA. Fragment ostatniego komunikatu Komendy Obrony Warszawy:

Po wyczerpaniu wszystkich możliwości kontynuowania obrony, wobec rozpaczliwego stanu ludności cywilnej, braku żywności i amunicji, głównie dla dział artyleryjskich, Komenda Obrony Warszawy zawiadamia, że była zmuszona zawrzeć rozejm.

Komenda Obrony Warszawy ustaliła z komendą niemiecką warunki umowy o poddanie, na mocy której miasto Warszawa i jej garnizon musi się poddać dziś w południe...

30 WRZEŚNIA. Akt rezygnacji prezydenta I. Mościckiego w Bieaz:

Niniejszym pismem rezygnuję z urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.
Ignacy Mościcki.

Fragment noty amb. J. Potockiego do sekretarza stanu C. Hulla w sprawie kontynuowania stosunków dyplomatycznych rządu polskiego z rządem USA:

„Były marszałek Senatu pan Władysław Raczkiwicz, wyznaczony jako następcą, przejął wysoką funkcję Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej...

PAŹDZIERNIK. Z dekretu Hitlera o administracji okupowanych ziem polskich:

§1. Terytoria okupowane przez wojska niemieckie podlegają będą władzy Gubernatora Generalnego okupowanych polskich terytoriów, z wyjątkiem wypadków, kiedy zostały włączone do Rzeszy Niemieckiej.

§2. Gubernatorem Generalnym okupowanych polskich terytoriów mianuje Ministra Rzeszy, dr. Franka.

31 PAŹDZIERNIKA. Z rozporządzenia gen. gub. H. Franka o zwalczaniu ruchu oporu w Generalnym Gubernatorstwie:

§1. Kto popelnia akt gwałtu w stosunku do Rzeszy Niemieckiej lub w stosunku do niemieckiej władzy zwierzchniej, sprawowanej w Generalnej Guberni — podlega karze śmierci.

§2. Kto rozmyślnie uszkadza urządzenia urzędów niemieckich, przedmioty, które służą do pracy władz niemieckich lub zakłady użyteczności publicznej — podlega karze śmierci.

§3. Kto wzywa lub podżega do nieposłuszeństwa w stosunku do rozporządzeń lub zarządzeń wydanych przez władze niemieckie — podlega karze śmierci.

§4. Kto popelnia akt gwałtu wobec Niemca z powodu jego przynależności do narodu niemieckiego — podlega karze śmierci.

§5. Kto rozmyślnie wznieca pożar i uszkadza w ten sposób majątek Niemca — podlega karze śmierci.

§6. Podżegacze i pomocnicy podlegają karze takiej, jak sprawca, usiłowanie jest karane tak, jak popelnienie czynu...

23 LISTOPADA. Z przemówienia radiowego premiera W. Sikorskiego w sprawie okrucieństw niemieckich w Polsce:

„Nigdy w dziejach nowoczesnych, nawet w okresach wojen najzaciętszych, nie nadchodziły wiadomości tak ponure, jak obecnie dzień z dzień z Polski. Oto we wszystkich okolicach Polski zachodniej rozstrzelani są kolejno przodujący obywatele życia narodowego, których nazwiska obiegają kraj cały w grobowej grozie. Oto w jednym dniu wtrąca się do więzienia i wywozi w głąb Niemiec wszystkich profesorów słynnego od sześciu wieków Uniwersytetu Jagiellońskiego. A wszakże są to tylko gwałty najjaskrawsze na tle nieustannego i powszechnego ucisku milionów ludności.

Rząd Polski przygotowuje osobną księgę urzędową, podającą wykaz znanych mu okrucieństw, ale już dzisiaj uważa za swój obowiązek podnieść głos w obliczu całego świata i oświadczyć: ziemia polska pod władaniem niemieckim stała się ziemią męczeństwa. Dzikosć nacjonalistyczna pisze nową, złowrogą kartę w dziejach okrucieństwa niemieckiego które rzezią bezbronnych przewyższa najciemniejsze wspomnienia. Duch zaboru i grabieży, który znaczył krwią i zniszczeniem pochod Niemiec poprzez wieki, odżył dziś i sieje swe zniszczenie i zbrodnie.

Raz jeszcze Niemcy poznają, że takimi działaniami zdobywa się w świecie nie wielkość — lecz pogardę, nie chwałę — lecz hańbę, nie zwycięstwo — lecz klęskę...

1945

10 MAJA. Z orędzia prezydenta Bolesława Bieruła z okazji zwycięstwa nad hitlerowską Trzecią Rzeszą:

„Narodzie Polski! Rodacy we wszystkich zakątkach świata! Nadszedł dzień oczekiwany przez całą ludzkość, dzień którego wywalczenie kosztowało miliony ofiar wszystkich narodów miłujących wolność.

Złamana została ostatecznie ohydna w swym barbarzyństwie hitlerowsko-germańska potęga i po sześciu prawie latach męki, ofiar i krwi zażywał znów dla ludzkości pokój.

„Jesteśmy świadkami wielkiego, nie znanego dotąd w historii aktu dziejowej sprawiedliwości w stosunku do wszystkich ciemiężonych narodów, aktu, mocą którego powstaje znów WIELKA I NA ZAWSZE ZJEDNOCZONA POLSKA!

Wracają dziś do Macierzy prastare ziemie nad Odrą, Nysą i Bałtykiem.

„Najgorętsze słowa przyjaźni i wdzięczności kierujemy dziś do Armii Czerwonej, do bratnich słowiańskich narodów ZSRR, które największy wkład wniosły w dzieło zwycięstwa i pokoju, którym zawdzięczamy wolność...

Władysław Broniewski



Syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni,
o czym i ja mam śpiewać, gdy dom mój — ruiny i zgliszczą?
Jak czolg przetoczył się Wrzesień ziemi ojczystej przez pierś,
o moja dłoń jest bezbronna i bezbronna jest ziemia ojczysta.

Ja na tę ziemię powrócę, ja chcę ją zbawić, ocalić,
stamtąd chcę światu płonąć serce i pieśni ogniem,
chcę, żeby z gruzów Warszawy rósł żelbetonem socjalizm,
chcę, żeby hejnał mariacki szumiał czerwonym sztandarem.
Dumna i piękna Warszavo, chwala twoim ruinom,
chcę zliczyć i ucałować twoje męczeńskie cegły.
Podaj mi dłoń, Białorusi, podaj mi dłoń, Ukraino,
wy mi dacie na drogę wasz sierp i młot niepodległy.
Luno wolności ludów, moc w zaciśniętej pięści!
Przemągną dni niedolekie i będzie się świat rówieśnić.
Piszę dłońa bezbronna, groźna, chociaż się nie mści,
syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni.

CHŁOPCY, którzy poszli do Rządca po chleb, nie zameldowali po powrocie o ostrzeżeniach, że nie są jedynym wojskiem polskim w okolicy. „Napoleon” i jego kolega, rekwirujący byczka w uworze, zostali zmontowani przez administratora, że niebawem wyrzucą to mięso. Ale towarzysze-chłopi z Rządca, wizytujący nas poźnym wieczorem, nie widzieli większych ruchów partyzanckich niż zwykle. Zawinęli brudną bieleżną w derki i odeszli o północy, z wypranymi koszulami i gatkami wrócą jutro przed wieczorem, przed planowanym wymarszem oddziałów.

Zimno i wilgoć nie dawały dospać. Nie każdy miał tak dobrze, jak zgrabna żona „Żelaznego”. Natomiast żona „Wolnego” czekała na powrót męża, zaś „Masza” wypędzała kpt. Iwana Iwanowicza z namiotu. Słońce jeszcze omgłone wznosiło się nad orzeźwiającą poranną mgłą, góliłem się: pedzel moczyłem w rosie. Wtem gdzieś z boku rozległa się strzelanina. Krzyki. Powtórzyły się znów. I ucichło. Od strony gajów biegli przez ścieżynę nasi kuchenni, woda wylała im się z wiader, jeden z nich uciśniętymi dłońmi szyję, obficie krwawił. Okazało się, że zostali ostrzelani przez chłopaków w partyzanckich furmankach: jechali na dwóch furmankach. Nasi na zawołanie „siój”, zareagowali przyspieszeniem kroku.

„Biały” dał rozkaz „Żelaznemu”, secesjonście z AK, żeby pochwylił drani. Dopędzono ich koło wsi Dołowatki, dziewięciu, dziesiąty zwiął — na nieszczęście. „Jeńcy” przedstawiali się młodo i dorodnie, chociaż nie wszyscy byli dobrze ubrani. Zanim kuchnia zorganizowała śniadanie, czyli czarną kawę z rozlany chlebem, jakby z brązowych trocin, „August” rozporządził, iżby — w gronie politycznym — przesłuchać zatrzymanych chłopaków. Kto oni, skąd, jaka organizacja, zamiary? I ja otrzymałem jednego. Ma się rozumieć, nie zwyliśmy żadnych złych zamiarów. Pierwsza rzecz: przekonać mojego o tym i zdobyć zaufanie. Raczej był przeświadczony o nieuchronności swojego losu, kto wie, czy nie pod wrażeniem śmiertelnego strachu jego kolegi, który raz po raz padał na kolana przed „Kaleką” i błagał, żeby go nie zabijać. Hm... Potem uzmysłowiłem sobie, że wstrząsające wrażenie mogły sprawić łopatki w rękach naszych partyzantów, którzy biegli na pozycje, żeby się okopać i przyjąć bój z rozwijającą się tyralierą napastników. „Mój” podopieczny twierdził, że podlega „Szaremu” z oddziału AK. Hm... AK? Jeśli tak, to nieporozumienie na pewno dobrze się skończy.

Później... później nie tylko „mój” podopieczny oskarżał, iż łopatki były przeznaczony do kopania dołów na grób dla nich... A teraz porządkujemy wydarzenia na podstawie tego co sam widziałem, przetyłem i tego, co się dowiedziałem z biegiem godzin i dni, także z ust polskich faszystów z NSZ. To oni nastąpili na nas.

Prawdopodobnie kanałami niemieckimi „Bohun” dowiedział się o wyściśnięciu naszych oddziałów z pld. zach. granicy Rzeszy i wobec tego ruszył na przeciw. Był rozżarty na komunistów, ponieważ posadzał ich o „zlikwidowanie” komendanta głównego NSZ, gen. „Kmicieca”. Jak wiadomo, większość oddziałów leśnych NSZ nie podporządkowała się kwietniowemu porozumieniu AK (Bór-Komorowski) — NSZ zresztą kompromitującemu zdrową część AK — i zaostriła krwawą walkę z partyzantką lewicową i radziecką. Tu wypłynął właśnie „Kmiciec”. Generalna jego dewiza polityczną stało się sformułowanie: „Niemcy są jak zdychająca wyciągnięta kobyła. My ich dobijać nie będziemy. Wróg nr 1 teraz to ZSRR”. Tej dewizy wiernie przestrzegają NSZ-owskie oddziały i Niemcy o tym wiedzą, więc nie dziwnego, że na wszelki sposób pomagają ruchom polskich faszystów, np. pozwalają przechodzić Nidę przez umocnienia w obie strony.

Nominalnie władzę nad oddziałami NSZ w Kielecczyźnie sprawowała komenda w Kielcach. Nie wiadomo dlaczego „Bohun”, pochodzący z Zagana, stał się ulubieńcem „Kmicieca”, który kazał dla niego utworzyć 202 pułk opok istniejącego już 204 pułku. „Bohun” dostał pięćce nad 204 pułkiem i na tym też dochodziło do konfliktów z jego dowódcą mjr. „Kazimierzem”. Tu należy szukać przyczyn powstania osławionej „brygady świętokrzyskiej”. „Bohun” został szefem całości, zaawansował na podpułkownika, zaś dowódcą 202 pułku mianował „Jakę” (nie tego ze Słaboszowa z AK), a na dowódcę 204 pułku kpt. „Ezręgo”. Szef sztabu — „Zab”, który — w — niej dał się we znaki lewicy w Lubelskiem. Za nim przywiózł się także oddział AK pod dowództwem „Szarego” i włączył się

do NSZ. Żołnierze tego oddziału chętnie postugiwali się starą przynależnością. Na czele II oddziału wywiadowczo-politycznego stoi „Wiktor”, a do pomocy na „Albina” i „Jana”. Podporządkowane im są poscigówki na rowerach: specjalnie manifestacyjnie obnoszą się z ryngrafami z Matką Boską na pierśiach, jakby w tej formie szukali zachęty i rozgrzeszenia dla swoich mordów. Gdzie logika? Ano w odwecie za ukrzyżowanie świętego Syna.

Czekając na nas we włoszczańskim i jędrzejowskim, zabawiali się polowaniem na peperowców i lewicowych BCH-owców. To robiła sekcja wywiadu. O tym potem. Szeregowych ostro ćwiczyli, aby dobrze się sprawili w walce z nadchodzącą potęgą radziecką. Fornalcykom i biedocie, którzy stanowili chyba połowę stanu ich wojska, obiecywali po 10 ha ziemi na Ukrainie; są od nas hojniejsi, ale my parcelu-

Wolbromiu, „Jędrzek” Taborowicz i „Eugeniusz” — porucznik, berlingowiec w drelichowym mundurze, który skończył razem z ruskimi w Kapielach i poniekąd rościł sobie prawo do łącznikowania między kpt. Iwanem Iwanowiczem i „Białym”, chociaż właśnie oni porozumiewali się świetnie, bez pośrednictwa. Lat ok. 30, ostry na twarzy i w ogóle w budowie. Sybirak, w polski wtrącał ruskie wyrażenia.

Tu kule gwizdały powolniej, już niejako biegiem zmęczonym. Moim zdaniem, sytuacja stała się mniej niebezpieczna, ale „Jeńcy” jakby na przekór temu, nagle z pozycji siedzącej przetrzuli się na brzuch, zda się ciężko ranny Rekami — udawał — że wpycha wnętrzności do brzucha. Oszalał? A przedtem dał się przeraźliwie, może rzeczywiście ze strachu, a może chce zaalarmować swoich — że jest obdzierany ze skóry przez komunistów.

Nogi drżały mi w kolansach, a w piersiach kolatało od lez i goryczy. Wyć! Przetykany jesiennymi kolorami, zarumieniony las biaknął, ale... oto dwa trupy młodych ludzi, „Dęba” też i po kilkunastu krokach dwa trupy z ryngrafami M. B. na pierśiach. Palce ręki jednego poruszały się, chyba nieświadomie, dotykając guzika przy bluzie.

Nie dostąpiłem szansy żadnego parlamentowania. Mój przyjemniaczek, zbliżywszy się do swoich szeregów, począł krzyczeć: bijcie co sił w peperaków, im już brakuje amunicji. Ratujcie naszych żołnierzy, tam koło nich biegają z grabarskimi łopatkami...

Okazało się, że znalazłem się w obrębie 202 pułku NSZ. Na moja argumentację, że jesteśmy Polakami i dewództwo AL pragnie wyjaśnić nieporozumienie i zaprzestać walki dwał facetów w szosulkach białutkich jak z magla, obrewidowali mnie, zabrali kilkaset złotych, a z kieszonki od spodni wyciągnęli zegarek z dewizką. Sprawdziwszy, że na buksach, rozbił go na drzewie. Na moja interpelacje, usłyszałem: siadać i siedzieć na dupie, i bądź szczęśliwy, póki żyjesz.

— Ten zachowywał się po ludzku — powiedział mój fałszywy przyjemniaczek.

— No to jego szczęście.
— Nie mówiłem, żeby się pan nie bał? Nie zjedzą pana.

Przez jakieś pół godziny, tkwiąc pod rosochatym świerkiem, obserwowałem gonitwy z bronią po lesie, walka zawiązywała się, rozgągwiała, to cichła. Ktoś podawał liczbę zabitych po obu stronach. Targnęła mną wieść, że ekswłasowska część oddziału kpt. Iwana Iwanowicza poddała się. Sakramenciey zdrajcy. Załamał się czworobok obrony, obrona już nie do utrzymania. Kpt. Iwan Zawieja Iwanowicz z dzieśiątką oficerów wycofał się pośpiesznie do naszych, akurat w stronę kotlinki.

Ciągle gnębiły mnie upokorzenie i gorycz. My może zginiemy, a ci będą żyć i cieszyć się światem. Próbowałem się czymś zająć, szukałem okurków, papierosów po kieszeniach, coś tam wydubałem, skręciłem w skrawek papieru. Ktoś krzyczał, żeby zaostrić kontrolę lewego skrzydła, ponieważ komuniści szukają luk do wyrwania się. Słońce, jak na złość, dopiero dobiegało zenitu. Strzały znów ustały. Prosto na nas szła „August” i kpt. Iwan Iwanowicz w towarzystwie dwóch jeńców. „August” — niepozorny, i niezmiernie blady, z dziecęcą twarzą, sztubaczek w prochowcu obciążonym paskiem; przez ramię przewieszony chlebak wypakował papierami — to archiwum partyjne włącznie z dokładnymi personaliami każdego naszego żołnierza. Sprządził je w czasie marszu, aby wszystko zostało sprawiedliwie policzone po ewentualnym przedarciu się przez front. Na wypadek zaś śmierci rodzina otrzyma odpowiednie podziękowanie. No, teraz ten spis przyda się wrogom, każdemu wypląca według zatwierdzonych przez partię zasług.

Kpt. Iwan Iwanowicz drobnił nerwowo i dodawał sobie animuszu, waląc w ziemię okrągłą czapeczką obwieszoną futerkiem. Pokrzykiwał: — My się bijemy... Słowianie... a tam germańcy na nas czekają. Bratcy...

Dalej nie orientował się, czy zamknięty w klatce świadomie robił dobrą minę do złej gry? Obaj z „Augustem” ni to wiwatowali ni to kokietowali przy pomocy białych szmatek na kijach. Może uznali, że ja, fajtlapa a nie parlamentarzysta, i narzeszcie oni załatwia pokój, zgode, może nawet sojusz? Starali się robić wrażenie lekkawców na których tu czekano. Ale wypowiedzieli mniet słów, niż ja przed godziną. Albowiem przybieśli zjalany goniec i powiedział, że „Bohun” kaze prowadzić peperowców na przelaj do leśnej drogi, gdzie odbywają się pertraktacje. Aż dech zaparło. Po dwóch stronach rowu wyłożonego zamulonymi ruśniami i trawskim skaleli sobie do oczu Polacy dwóch przeciwnych orientacji. Po stronie do któ-

Kartki z pamiętnika

jemy na miejscu. Lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu. O berlingowcach mówili, że to ruscy ubrani w polskie mundury.

Rozdzieli się po kilku wioskach, aż hen po Bębello. Feralnego 9 września kwatermistrz 202 pułku „Stefan” wziął ludzi z batalionu „Stepa” i udał się do pobliskiego młyna w celu wymiany zboża na mąkę. To właśnie oni natknęli się na chłopaków z naszej AL, krzątających się w podobnej trosce. Już wiadomo: strzały, pogoń, przesłuchanie „jeńców”. „Step” z całym batalionem ruszył w kierunku naszego obozowiska w sosnowym, wysokim lesie. Przez umyślnego zawiadomil „Bohuna” o tym, co się dzieje. W tej sytuacji „Bohun” z „Zębem” odebrali drugi batalion 202 pułku oraz jeden batalion z 204 pułku pod dowództwem „Zbika” i wtedy, gdy „Step” następowal na nas frontalnie, gesto strzelając, tamci okrzyczali ze wszystkich stron.

Na domiar na szosę Włoszczańską-Jędrzejów przytoczyły się dwie tankietki niemieckie.

Otoczyło nas i napierało ponad tysiąc faszystów. Może nawet dwa tysiące. Słońce pomykało między drzewami płoszone przez kule. Płonęło poszycie. Słońce ledwie machnęło skrzydłem; nagle kule i huk pękających granatów. Światło — noc, światło — noc. Do dziś widzę twarze jakby w świetle błyskawic. Coraz bliżej bulgot pocisków. Rozłożył chłopak w furazercie i saperkach, ps „Dąb”, z którym kilkanaście dni temu jechałem furmanką z Łobzowa, uskoczył za sąg drewna i palcem wymazywał miód ze słóiczka i pechał do ust. Tyle jego. Był otoczony. Na chwilę zająłem się rozmową z „jeńcem”. Co on na to? Widział w moich oczach pretensję i nienawiść? Znów błagał o litość; nieporozumienie na pewno się wyjaśni, zareczal. Kiedy spojrzalem ze wzgórką w dół, „Dąb” podrzucony granatem wyskoczył wysoko i opadł na podściółkę z igliwia. Obok niego zachwiał się drugi w koszuli wyronionej na portki, lub był to kucheik w białym fartuchu. Pamiętam, że zdobyte pochodziła z niemieckiej kuchni, zagarniętej na drodze, pod Szczekocinami lub Rokitnem. Plutonowy „Szofer” ze Tczycy niepotrzebnie wołał sanitariusza, i jego mięsista twarz pałała w napięciu jak grona jarzębiny.

„Kaleka” zarządził, a sekretarz „August” kiwnął z aprobatą głową:

— Wycofujemy się w kotlinkę. Gdyby coś... to kula w łeb, jesteście zakładnikami. — Groźnymi słowami, ale tonem stosunkowo łagodnym perswadował „Jeńcom”. W przerwie ognia rzuciliśmy się między krzaki w dół. „August”, „Kaleka”, „Kora” — poważny, starszy wiekiem sekretarz partii w

— Kij ma dwa końce, pamiętajcie. Paa...

— Zamknij się, bo... — warknął „Kaleka” i w tym momencie urwał i jak zając pokicał do plutonu „Jelenia”, gdzie próbował szerzyć defetyzm jakiś starszy facet w zielonej kurcie, zrobionej z wojskowego płaszcza. Ach tak, to kapral zawodowy z którejś Poręby, który ciągle patrzył podejrzliwie i miał za złe to, że młodzi „gówniarze” dostali tak od ręki drużyny i plutony. Nie-sprawiedliwie... Ano zobaczymy, odpowiedział mu „Kaleka”, zobaczymy, jak się zachowacie w praktyce. Powiększy się oddział, to ewentualnie damy wam jednostkę. — I oto praktyka: bitwa, ludzie giną, a ten... syn drze się wśród walczącego plutonu, jak dziecko. Kole-dzy... kole-dzy... Patrzcie, już zląkł się wymawiać słowo „towarzysze”... — Kole-dzy, poddajmy się, bo nas tak czy siak wytluką. Może ocalimy się.

Widziałem, jak „Kaleka” dopełnił do panikarza i przytknął rewolwer do jego skroni. — Uspokoisz się, skurwysynu, czy nie? Strzelaj, albo szlag cię trafi. Krótkimi seriami, oszczędnie.

„Kaleka”, kiedy wrócił w kotlinkę, był posepniejszy. Szepnął tak, żeby „Jeńcy” nie słyszeli:

— Ekswłasowcy u Iwana Iwanowicza nie są pewni. Boże, przetrzymać do wieczoru... Kazalem strzelać oszczędnie.

Mój jeńcy świetnie wyczuł sytuację, a równocześnie nie miał wątpliwości co do naszych pokojowych intencji. Był może, rzeczywiście pieczętował i swój los, gdyby nam się stało coś złego. Razem z innymi począł energicznie przysięgać, że cały bój jest wiekłą pomyłką i że trzeba o tym dać znać stronie następującej. Zawiadomił ich o tym, że Jeńcy żyją zdrowi i cali. „August” powiedział do mnie:

— Idź z tym swoim szklaco-płaszczowym. Jako inteligent, łatwiej dogadasz się z panami. Macie białe chusteczki? Zawiescie na kijach, niech tamci przestaną strzelać. Masz prawo parlamentarysty, powinni uszanować. Na wszelki wypadek przeznaj się... — Zebrato mu się na zarty.

Poszedłem z jeńcem ku naszym szeregom, krzyczeliśmy: przestać strzelać, idziemy od „Białego” na pertraktacje.

Czy przestaną strzelać? Przedtem, kiedy nasi żołnierze zaczęli strzelać w obronie, „Biały” wahał się. Poderwał ich nieznanymy im chłopak, grożąc: chcecie łamania rąk i nóg, chcecie urzynania języka, to się poddajcie!

Możemy się znaleźć między dwoma ogniami. Jeszcze jak! Przypatrywało mi się dwóch chłopaków i dogryzało: „Kto to, towarzyszu redaktorze, pisał w grudniu 42 roku, że „widmo zagłady odpędzimy tylko walką”? Uff! Niechętne godzili się na podstępne zawieszenie broni.

WE WRZEŚNIU 1944 POD KIELCAMI

Dokończenie ze str. 3

rej zbliżyliśmy się — trzech oficerów w wieku lat 40, dobrze upiętych w zielone mundury, w butach z cholewami, a z drugiej strony „Biały”, „Tadek Ruski”, „Gorący”. Potem dowiedziałem się, że parlamentariusze ze strony „Bohuna” szukali naszych dowódców i natknęli się na „Białego”, który nie przyznał się, kim jest, występował autorytatywnie, ale incognito i równocześnie tak, jakby czekał na kogoś, kto nadejdzie i zadecyduje ostatecznie. Trzymali siebie na muszkach pistoletów.

„Biały” mówił podniesionym głosem:
— Nie strzelajcie i odejdźcie!

A na to facet ze strony przeciwnej najwyższy wzrostem:

— Wzywaliśmy was, żeby nie strzelać.

— Wy strzelaliście pierwsi — zaakcentował „Biały”.

— Chcemy złożenia broni przez was.

— Broń nie jest naszą prywatną własnością. Prawo decydować o niej mają tylko wyższe władze Armii Ludowej, którym podlegamy. Rozumiecie to jako wojskowi.

— Wy nie jesteście armią polską. Rozbrojcie się i wstąpcie do nas, bądźcie prawdziwymi żołnierzami prawdziwej armii polskiej narodowej. Złóżcie broń, komuniści!

— Nie! My od was tego nie żądamy, czego wy od nas. Jesteście zdrajcami narodu polskiego — parsknął „Biały” — bo pracujecie z Niemcami.

Tu wtrącił się kpt. Iwan Iwanowicz, niejako przez ramię „Bohuna”, a potem „Zbika”. Był pewny, że czas wygrać słowiańską kartę jedności.

— Germańcy otaczają nas wszystkich. Na szosie czołgi, a w rowach artyleria. Uderzmy razem na nich.

— Oni nam nic nie zrobią. A wy...? Czemu nie damy rady my, to Niemcy dobiją. Dość tej zabawy! Żądam przybycia tu samego „Białego” i jego zastępcy, w ciągu kwadransa — „Bohun” popatrzył na ręczny zegarek, a potem na słońce. — Po tym czasie przystępujemy do bezwzględnej likwidacji.

„Biały” odpowiedział bez zmużenia oczu, podziwiałem:

— Dobrze, panie pułkowniku, zanłose „Białemu” żądanie i niech sam z panem rozmawia, Chodźmy.

W czasie odbijanki słownej udało się mnie, „Augustowi” i kpt. Iwanowi Iwanowiczowi milczkiem przetrzeć na drugą stronę rowu. Do dziś nie mogę wyjść z zadziwienia, kto kazał przeprowadzić z miejsca pierwszego postępu „parlamentariuszy”. Być może, że to był warunek nierozpoznanego przez faszystów „Białego”, żeby zechciał w ogóle rozmawiać z nim. Przerzuciliśmy się pod wzajemną osłoną wycelowanej w siebie broni. Brz, oczy płonęły jak u wściekłych psów. Czas tych pertraktacji, które były nieoficjalnym zawieszeniem broni pożądanym przez żołnierzy, wykorzystał „Kaleka” na zgrupowanie koło siebie ok. trzydziestu chłopaków i wymknięcie się z okrażeń. Kędzierzawy, ciągle rosnący fizycznie „Jeleń” także szukał dziury dla swego plutonu. W konsekwencji udało mu się. Ale NSZ-owcy już zwarli się, ich broń najężyła się. W ścisłym gronie „August” jednak zdecydował, że jedyną szansę uratowania się da przekonywanie czujek i patroli NSZ-owskich: powinny przepuścić pojedyncze rozczłonkowane siły. Kto z nich pragnie, żeby po nocach śniła mu się bratnia krew na rękach? Retoryczne pytanie. Niedaleko gruchnęły granaty i popłynęła świeża krew. Z trójki uciekinierów tylko pińczowska Kryśka zawróciła żywa. Taka tobołkowata, z ljdkami skrępowanymi chusteczkami od nosa, z powodu napuchniętych czerwonych żyłaków.

„August” wskazał kierunek i poszliśmy — posilkował „Kora”. „August” z tym swoim politycznym chlebakiem na ramieniu. Napotkaliśmy grupę faszystowskich chłopaków, wśród których najwyższa ranga widoczna na wistrówce opiewała na sierżanta. Zanim mówiliłem na moment oszołomiony, gdy na mój widok czmychnął znany mi chłopak z Przybysławic. Chodziłem tam do fornalni. Cóż takiego we mnie zobaczył, że uciekł jak diabeł przed święconą wodą? Sędzia mu się zwidział?

Agitowaliśmy prosto, serdecznie: Jesteśmy nieskazywanymi Polakami, tak jak wy; co przeciw widać po twarzach: walczymy o to, żeby była wolna Polska, tak jak wy; chcemy sprawiedliwość dla naszych

ojców i rodzeństwa, tak jak wy; wszystko nas łączy, nie nie dzieł w tym gronie, w którym się aktualnie znaleźliśmy, no więc wypuście nas z tego uzbrojonego kotła, pragniemy dalej walczyć z Niemcami.

Opowiadali, że we wszystkim zgadzają się z nami, są pełni przyjaźni, rzeczywiście jedną wodą jesteśmy chrzczeni, ale nie wypuszczają, bo taki mają rozkaz. Dyscyplina — rzecz święta.

Zwiędły nam miny, zamedytował się „August”, sami wleźliśmy do drugiego, szczelniejszego saka. Wcale nie z pomocną ręką zjawił się chłopaczek — podporucznik i na przedłożenia sierżanta w naszej sprawie, obrzucił nas ironicznym wzrokiem i odpowiedział nam, że zaraz pójdziemy na punkt zborny jeńców, resztę załatwi „Witold” z wywiadu. No, masz babo wesele! Obtańczując m. in. polityczny chlebak Augustowy.

W tym momencie zza krzaków wychylił się — w blasku przechylonego za pałap słońca — chłopak z Wolbromia w pilśniowym brązowym kapeluszu, półbuty miał czystutki, jakby się wybierał na salony. Bez obciachu, wbrew niebezpieczeństwu, zwrócił się do podporucznika z wiadomością, że przysłał go tu „Biały” celem zastąpienia tego oto „Augusta”, ponieważ razem pójdą jeszcze raz pertraktować do „Bohuna”. Zostańcie tu; „August”, nie czekając na zgodę, obciągnął płaszcz i zdecydowanie ruszył drogą, którą przybył chłopak w pilśniowym kapeluszu. Dopiero po 5—10 sekundach podporucznik krzyknął „stój, stój”, a potem strzelił z pistoletu ze trzy razy, ale „Augusta” i jego chlebak na szczęście już zakryły krzaki. Jak się później dowiedziałem, „Biały” wyrwał się z okrażeń z wielu dziesiątkami żołnierzy, a z nim na pewno „August” i nieodstępny „Bula”. W każdym razie nie było go na punkcie zbornym jeńców na wyłysanej, piaszczystej polanie prawie na skraju lasu, z widokiem na chochołi Rządźbiec; tu nas doprowadzono.

Była godzina trzecia po południu. Wartownicy mówili, że to jeszcze trochę potrwa... czyli to czekanie... ponieważ pościgówki osaczają grupę „Białego” i niechybnie przywołają go do towarzystwa, jeśli przedtem nie rozwieją jego bebeczów na płocie. Siedzieliśmy. My, towarzysze, staraliśmy się jak najmniej do siebie mówić. Był tu „Kora”, „Karol” i ten w pilśniowym kapeluszu z Wolbromia, „Żelazny” i jego żona oraz żona „Wolnego”, „Białaś” z Uniejowa, itd. Przez rzadkie drzewa widzieliśmy „ruskich” usadzonych na następnej polanie, wśród nich „Masza” w czerwonych bucikach. Jakiś oficer przyjechał na koniu i komunikował im, że ci ich sztabowcy na czele z Iwanem Iwanowiczem, którzy w bitwie wycofali się do „Białego”, już zostali złapani i będą karani, oni właśnie, i jeszcze kilku, których już wyeliminowano z poddających się. Natomiast ci siedzący tutaj posłusznie, ekszwasowcy przedstawiają masę niewinnych, ciemnych żebraków i będą zwolnieni, niech sobie idą, gdzie chcą, niech ich wilki zeżrą, albo Niemcy pojmą, tylko niech zdejmą buty. Buty są potrzebne żołnierzom, którzy walczą na czele z plk. „Bohunem”.

Koń tańczył, oficer z czarną muchą pod nosem czekał na odzew, do decyzji przynależały dwa erkaemy pyśkami wycelowane w niemieckie mundury khaki. W tym momencie wystąpił facet o ciemnej karnacji, ostry na twarzy, podobny do Żyda lub Araba i począł dziękować, gnąc się w kolanach. „Kora” szepnął z obrzydzeniem:

— Wół przed wołem kłęka od wołu głupszy.

Rzeczywiście przybliżył się do samoupodlenia, nie utonie głębiej. Oficer zakrzyknął z obrzydzeniem, obrażony:

— Won, ty ucięty kutasie! Polacy, seriami w nich!

Zaniosło się krwawym catharsis — od kuli, terkotu, wrzasku; polanka wzdęła się, skłębione ciała wyzynały krew. Czerwone pasma popłynęły między drzewa. Szlus. Jeden uciekł Uratował się? A „Masza”? Zamknął oczy. Nie wiem, czy powieili ją ciężarówką razem z pięcioma oficerami radzieckimi do gospodarstwa w Jędrzejowie, czy też została na miejscu. Jak odróżnić czerwone butki od krwi? Nie wiem, ale widzę rosyjską dziewczynę, jak strzep odchylającego się słońca grzeje jej twarz, gły uciekła roniła i obnażona przez wilcze spojrzenia.

W atmosferze zdubeltowanej niepewności zwiłokrotniły się lęki i z taką dygotką przystępowaliśmy do podawania swoich personaliów przed komisją reprezentowaną przez stosunkowo niską rangę.

Gdy słońce schyliło się nad ziemię, wyprowadzili nas na wiejską drogę i kazali siadać w popiele. Policzyliśmy się, trzydziestu dwóch; czternastu zabitych. A więc prawie trzy razy tyle uszło zwycięsko. Już o zmierzchu napoili czarną kawą, którą rano gotowaliśmy dla siebie i wywiczonym systemem uszeregowali w czwórki i kabłem mocno zwiążali ręce wzdłuż i wszerz. Nie można sobie nawet utrzyć nosa. Z prawej strony miałem „Zegadłowicza”, parającego się wierszami, a „Garbaty” dał go nam za przewodnika, który doprowadziłby do Batalionu im. Bema. Doprowadziłby... i sam siebie doprowadził...

W Rządźbce dorzucono do naszej jeńckiej grupy trzech chłopów i oni szli na przedzie razem z berlingowcem. Dzieci wieszaly się płotów i płakały: tata wróć, tata wróć. Puśćcie tatę.

Szliśmy i następowaliśmy na siebie spętani. Jedno czyjeś potknięcie powodowało bolesne reperkusje w kilku szeregach. Boże, nie daj, gdyby się komuś zachciało za swoją potrzebą!

Weszliśmy w lasy. Na domiar złego przed północą deszczowa wichura zatrzęsa światem. We wsi Ogarka? Przemoczyliśmy się i usmarkali dokumentnie. Gdy się rozwidniło, weszliśmy do wsi o nieznanym nazwie. Ale mgły się jeszcze długo łuszczyły. Potem znaleźliśmy się w obrębie okazałego parku; w środku biały pałac z tarasem i kolumienkami. A przed drzwiami żołnierze w białych hełmach wyciągnęli jak struny. Pilnują sztabu. Nas — przedtem rozpętawszy — wpędzono przez

sekwenalnie, a potem okazało się, że stali się nasi ideowo. O! „Karol” w lesie blaznował i popierdywał przeciw różnym argumentom, a teraz zapadł w taki zły upór, że aż wydał się sztuczny. A mały z jasnym puszkem pod nosem? Płakał, bo bał się, że go poznają. Owszem, poznali go, zdezerterował od nich, i momentalnie uspokoił się. Odszczekiwał podchorążakom, gdy śmiali się z niego, że gatki sobie pobrudził. „Wy zawsze brudziłeś, gdy spotykaliście szwabów, więc jedynym wyjściem było wejść w siwę”. Oni zataczali się najpierw w śmiechu — teraz w złości. Niewątpliwie i wspólna niedola stała się czerwonym spoiwem. Na domiar ten „Kotek” z lekkim puszkem opowiadał po cichu straszne wieści o wyczynach NSZ-owców, którym się napatrzył do bólu i dlatego czmychnął. Zda się, on się podjął hartowania nas na najgorsze. Może, wycykawszy różne tajemnice, postąpią z nami tak jak z czteroosobową obsługą radiostacji radzieckiej? Opodał. Nie chcieli się poddać, no to faszyci podpalili stodołę, i ugotowali bolszewików... Na pogorzelsku długo straszły buty zżarte przez ogień, w tym pantofelki damskie W Radkowie już stacjonowali. Przeważnie zajmują się torturowaniem pod zarzutem komuny. Wywiad mają od zdrajców i renegatów. Biją i pytają: gdzie „Garbaty”? Pokaż, to cię ulaskawimy. Jednego biją, a drugiemu każą grać na harmonii, żeby zagłuszył jęki, zaś trzeci ma polewać pierwszego pomyjami, gdy zemdleje pod dębowym kijem. I tak aresztowani zmuszani są do wzajemnych usług. Slepacz zatacza się ze śmiechu. Lubują się w tym „Halny” i Zbroiński. „Halny” ludzi, że ładne córki chłopów mają wpływ na zmiekczenie jego serca. Pokazuje wyrok śmierci na ojca i obejmuje dziewczynę w pól. Nie chcesz dać? A „Garbatemu” dajesz? Potem ubitych, czarnych, jak boska ziemia nieszczęśników obwoją po wsiach, pokazują chłopom i grożą, że każdego to czeka, gdy nie zerwie z komuną. A potem rozwalka pod byle drzewem. Przedtem dół... Ale już są mądrzejsi niż do niedawna. Takim czterem straceńcom kazali kopać dla siebie grób. Jeden z nich łupnął łopatą



Fot. Archiwum

końską stajnię do zatepłego i zimnego lamusa; przy ściance stała bryczka z dwoma siedzeniami, tu się usadowiło czterech podchorążaków; grał w karty, zajądali owoce, drażniąc nas i dokucając w różny sposób. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy w Radkowie, sławnym z Arian. Legliśmy przemoknięci na cienkiej warstwie słomy. Przypatrywaliśmy się sobie, nawet nie patrząc. Byłem coraz dumniejszy z postawy naszych chłopaków, za niektórych nie dałbym przedtem złamanego szeląga. O! gonieni przez Niemców, zakotwiczyliby wszędzie. Pomyliłem się, wszyscy zostali porwani przez siłę głębszą niż rozum i serce, przez instynkt klasowy. Dowarli do kręgosłupa; do partii. Jako jej mięso. Wytworzyła się spirala idąca w górę. O! z „Żelaznym” przyszedł do oddziału AK-owcy. Najpierw chodziło o to, żeby prali Niemców kon-

NSZ-ciaka w głowę, i w nogi. Dwóch uciekło, dwóch zastrzelono. Teraz doły kopią ludzie z „wolnej stopy”, a delikwenci czekają na kule z zawiązanymi rękami i oczami. Zbrodniarze boją się, żeby ofiary nie poniosły ich wizerunku na drugi świat.

— Przezań — szepnąłem. — Już dostatecznie czujemy, że gryziemy ziemię.

Przy przybliżaniu najgorszego trwoga zwolniła uścisk i ustąpiła miejsca posępnemu spokojowi. Byliśmy pewni siebie. Przed wieczorem zajrzała do nas dziewczyna z wyciągniętym biustem, pokiwała głową litośnie, agitowała szepem uzbrojonych podchorążaków w jakiejś sprawie, wyszła i po chwili wniosła dwa koszyki jabłek. Powiedziała w naszą stronę:

— Ludzie dla was przynieśli. Podzielcie się!

Władysław Machejek

Kamena str. 4

ZSTĄPMY do techników warsztatu. „U podstaw każdej sztuki jest rzemiosło” — stwierdza Parandowski. Im prędzej to pisarz zrozumie, tym lepiej. Obaj z Maciejewiczem wróciwszy do kraju zdumiewaliśmy się na niedocenienie sprawności. Pisałem już o znanym reporterze, który mnie poklepywał po ramieniu na te tam wszystkie sprawności, kartoteki i inne wymysły i uznawał jako sprawność jedyną, f czolującą — dobry spust i picie wódki.

A tymczasem my, starożytni grubasy, pisaliśmy na maszynie, prowadziliśmy samochody, fotografowaliśmy etc. Ale ileż mieliśmy braków? Nie zbieraliśmy wiadomości przy pomocy mikrofonu — notesa (teraz już umiem), nie mogliśmy sobie wyobrazić zamienienia maszyny do pisania dyktafonem (teraz wreszcie się tego dochrapałem), z którego dopiero sekretarka przenosi tekst na pa-

węł próby zdradzenia gęsi na rzecz innych ptaków. Tak na przykład jedne źródła podają, że Balzac używał wyłącznie piór kruczyczych, inne, że strusich. Tak czy owak musiał tego grymasić na rzecz tego bodźca.

Zabawne było zetknięcie pióra gęsięgo z XIX wiekiem maszyny, pary i elektryczności. W 1809 r. Józef Bramah opatentował maszynę wyrobującą z pióra kawałki już zaostrome, które wtykało się w obsadkę. Prototyp stalówki. Pisarz mógł sobie kupować pudełko takich „stalówek” i miał z głowy temperowanie.

Pomysł Bramaha z wolna ewoluował w stronę stalówki. Najprzód poczęto je produkować z szylkretu, wreszcie z metalu, ale tu długie lata eksperymentów minęły, aby osiągnąć elastyczność przez jakość stali i wcięcia, antykorozyjność itd., co tam w tym wszystkim ulepszył Gillot w Sheffield,

Od calamusa do magnetofonu



Melchior Wańkowicz

pie. Ale bo też i mój równolatek, Agata Christie, kiedy złamała rękę i musiała posilkować się magnetofonem, czuła się bardzo nieszczęśliwa.

PIÓRO

OBSZERNY to rejestr nawyków przechodzących w dziwactwa, które pisarze nie tylko kultywują, ale celowo rozwijają. Tak rycerz przywiązywał się do oręza (Gerwazy do „Scyzoryka”, Maciek do „Rózczi”, Roch do „pani Kowalskiej”), do kulbaki, czy obsadna, do króciicy, czy poręczna. Ale najbardziej cenili sprawnego wierzchowca.

Jak rycerze z koniem wiążą asocjacje, tak pisarze z „piórem” (w znaczeniu ogólnym), oznaczającym przyrząd łączący lotną myśl ze zmaterializowaną rzeczywistością.

Bo czyliż to nie jest aż mistyczna rzecz, kiedy „verba volant, scripta manent”. Kiedy — właśnie przez użycie tego narzędzia — mniejsza o to, czy pióra, czy maszyny do pisania, czy innego urządzenia, obraz wirujący w głowie pisarza w coraz innych kształtach, układach, kolorach, naświetleniach, nagle — kłamka zapadła — stanął w biegu i został.

Ale nie tylko cudo polega na zatrzymaniu potoku myśli. Jest inna jeszcze czarodziejska funkcja: wydobywanie się, już w czasie procesu pisania, tuż przed spetryfikowaniem myśli — nowych skojarzeń — nagle spływających w czasie tego procesu utrwalania. Dlatego, gdyby użyć porównań z fotografią, pióro jest nie tylko utrwalaczem, jest również wywoływaczem. „O pióro! Tyś mi żagleń anielskiego skrzydła i czarodziejską zdrojów Mojęszowych laską” pisał przejęty wdzięcznością Norwid.

„Pióro” służy jako określenie pars pro toto. Narzędzia pisarskie ewoluowały od najdawniejszych czasów. Kiedy Scytowie posyłali przeciwnikom pęk strzał i zdechłą mysz, „pisali” w ten sposób „mamy pod dostatkiem oręza, by was uśmiercić”.

Potem „pisano” tworząc zespoły różnokolorowych i różnej długości sznurków (pismo Inków), albo zestawy muszelek (pismo Nigeryjczyków). Pisano piśmem klinowym na kamieniu lub cegle.

Wreszcie, kiedy domyślono się tabliczek pociąganych woskiem, pisano rylcami z bambusu, siłowia, z metalu, u możliwych rylcami z kości słoniowej, zakończonymi złotym ostrzem.

Więc skończone przyełta trzcina, zwana calamus, jest właściwym protoplastą długopisu.

Ale długa to była droga. Dopiero w siódmym wieku, jak notują kroniki, święty Izydor z Sewilli, hiszpański encyklopedysta, użył gęsięgo pióra. I przez dwadzieścia wieków gęsię pióro zwarło się z twórczością. Były przy tym nierzadkie sposoby temperowania faworyzowane przez pisarzy, na-

ale dopiero w 1860 r. ukazały się w Stanach Zjednoczonych pierwsze stalówki zdatne do masowego użytku i odtąd stalówka opanowała świat.

Jakże wolno rozchodziły się wówczas wiadomości! Niechby dziś wiosną na Fifth Avenue pokazała się na przykład, dama w sukience z żabich skórek, jużby na jesień Marszałkowska się zażabiła.

Tymczasem Prus w kronice z 1874 r., w czternaście lat po tej ostatecznej amerykańskiej inwencji, podaje jako sensację wcześniejszy od niej wynalazek Gillota:

„Z Anglii donoszą o skonie wynalazcy piór stalowych, Józefa Gillota, który jako prosty robotnik w Sheffield zastąpił pracę ręczną w przygotowywaniu piór pracą czysto mechaniczną. Pióro ręcznie wyrobione za jego czasów kosztowało 7 złotych, za które się teraz płaci 2 grosze”.

Pojawienie się stalówki na biurku pisarza napotkało na erupcję oburzenia. Już nie żadne tam strusie pióra, proszę pana Balzaka, nie żadne frymuśne zatemperowanie proszę pana Hugo, nie żadne frykasy podług zamówienia, tylko pudełko jednakowych dań ze stalówki zarówno dla pana Poe, jak pana France’a — masz, żryj, nie grymas, wiek pary i elektryczności uczy że czas to pieniądz.

Te erupcje oburzenia towarzyszyły każdej inowacji. Zawsze twierdzono, że nowy wynalazek nie sprosta starym sposobom. Powozeczne były pokazowe turnieje szwaczek rywalizujących z maszyną do szycia, skrybów z maszyną do pisania.

Miałem stryja, który do Mińska jeździł dwoma popasami, kiedy już miał do rozporządzenia kolej. Sam pamiętam u początków mojej kariery myśliwskiej starych, zamożnych ziemian, którzy za Boga nie kupiliby patronówki, uważając, że tylko pistonówka, w którą Jaśnie Pan może dozować tyle prochu i frutu, ile mu się podoba, gwarantuje pewny strzał.

Co tu mówić o dawnych czasach, kiedy gospośia, nawykła do naszej parterowej willi na Zoliborzu, przez dwa lata nie korzystała z windy, drapiąc się z zakupami parę razy dziennie na moje piąte piętro na Puławskiej.

Tak samo biskup Łętowski, popularny pisarz XIX w., znalazłszy się w latach sześćdziesiątych w Niemczech i znajdując w sklepach wyłącznie stalówki, nagle sprawił zawód swoim korespondentem, bo okazał się powtórnym analfabetą.

Stalówka jednak odbyła swój triumfalny marsz po świecie, choć jeszcze Anatol France, wykintny gentleman, którego widziałem w 1923 na rok przed śmiercią, jak stojąc na mównicy ze starannie trefioną brodą zalegającą smokiem czarował audytorium — większość swoich dzieł napisał gęsim piórem.

Stalówki nie adorowali ani Zeromski, który nie używał darowanego wiecznego pióra, pisząc ołówkiem przy małym stoliku, ani Kuncewiczowa, która też pisze ołówkiem.

Pół mego życia spędziłem pod panowaniem stalówki. Najprzód stalówka — jako sztubacka moneta obiegowała. Ileż tam było odmian różnorodnie notowanych na giełdzie: dwie krzyżówki szyły za Wiedeń, Eifel, trzy zaś za jedną angielską złocistą rondówką, a w przypadku braku środków płatniczych nawet za bulkę z szynką.

Potem na uniwersyteckie wykłady chodziłem z małą teczką, w której był wszyty futeralek na obsadkę frymuśną, bo w środku miała spłaszczenie-tarczkę i pisała się nią trzymając między palcem wskazującym i serdecznym. Moją zaś przyszłą żonę, która była na historii nazywana „świętą z kalamarzem”.

Moje więc pokolenie było przywiązane do stalówki do tego stopnia, że Peter Altenberg, austriacki pisarz, jeszcze po pierwszej wojnie „tak opiewał zajęty nowowprowadzonej błękitnej stalówki Kuhna — pisze Parandowski — jakby mu firma płaciła za reklamę”. A wzięty francuski pisarz, Descaves, członek Akademii Francuskiej, zmarły po drugiej wojnie, kiedy wszechwładnie już panował długopis, uważał, że zwyczaj zanurzania pióra w atramencie jest doskonały, bo nie pozwala pisać szybko „przez co unika się niejednego głupstwa”.

Jeszcze w 1931 roku profesor Michał Siedlecki zwrócił się w sprawie procesu Brzeskiego do pisa dr. Tadeusza Dybowskiego listem pisanym ręcznie przez kalkę.

I jeszcze teraz, przed trzecią wojną, Iwaszkiewicz, mój omal równolatek, jak donosi prasa, używa wyłącznie zwykłej stalówki w obsadce.

TECHNIKA PRZEPISYWANIA

W MASZYNIE jest niezbędny tabulator (automatycznie nastawiający akapity, rubryki cyfr itd.).

Maszyna powinna mieć nastawienie na „pół zęba”, pozwalające dopisywać brakujące słowa. W mojej „Super Silent Smith Corona” mam „rajski margines” tzn. urządzenie, które już nie pozwala pisać dalej, gdy papier dojdzie do miejsca, w którym życzymy mieć margines dolny, a nie wjeżdżać na sam dół papieru, co, zwłaszcza na kopiach, może grozić zgubieniem wiersza. Niektóre maszyny mają guziczek, za którego naciśnięciem spłątane litery wracają do łożysk bez rozplątywania palcami.

Zaleca się maszyny na taśmie dwukolorowej, co jest ważne nie tylko dla czystopisów, ale dla brulionów, gdzie kolor dodatkowy sygnalizuje dla zecera użycie innego pisma (kursywa, wersaliki itd.). Zaleca się taśmy jedwabne, cieńsze od powszechnie używanych bawełnianych, przez co na bębniech mieści się dłuższy metraż. Nadto dają one lepsze odbitki.

Guma-wycieraczka z kauczuku skuteczniej jest zastępowana przez pałeczkę ze szkliwa, zaadaptowaną w plastikowym etui. Chętnie używam „correctiontape”, który nakłada się na słowa zmyłone, pisze się na nim jeszcze raz ten mylny tekst, który znika z papieru, na którym był już wydrukowany.

Kalki amerykańskie są produkowane w sześciu gatunkach. Najcieńszy gatunek daje dwadzieścia czytelnich odbitek, ale krócej służy i roluje. Ze średnią kalką otrzymuję na mojej maszynie średniej wielkości „Olivetti” osiem czytelnich odbitek. Jeśli się pisze „nagimi” (tzn. bez taśmy) czcionkami na woskówce, można osiągnąć na powielaczu 5 000 odbitek. Czasem też używam specjalnego papieru, który nie potrzebuje kalki. Wydziera się z bloku arkusze, wkłada w maszynę bez żadnej kalki i trzymuje się oryginał z kopią.

Kalki zleżale reintegruje się przez podgrzewanie.

Wydawnictwa żądają maszynopisu w trzech egzemplarzach. Nadto należy mieć jeden egzemplarz dla rozparcelowania w prasie przed wydrukowaniem książki. Z tego wynika, że autor, choćby czuł weneć, nie może sobie pozwolić na pisanie od razu w pięciu egzemplarzach na czysto. Bo każda poprawka musiałaby być pięciokrotnie nanoszona.

Piszę więc w pojedynczym egzemplarzu na trzeci ząb, tak że ewentualnie w każdym miejscu mam możliwość wnoszenia aż dwu wierszy poprawek (plus szeroki margines). Nigdy nie należy poprawiać właściwej litery przebijając ją, co wprowadza w konfuzję stenotypistkę, zwłaszcza, jeśli poprawka jest w zdaniu obcojęzycznym. Dlatego należy pisać tekst na czerwonej taśmie, bo wówczas wnoszone poprawki z czarnej taśmy są czytelne.

Jeśli się pisze z notatek, to ułatwieniem jest wklejanie ich (najbardziej bowiem ukochane utensylia, to nożyczki, klej i kosz). Na żywo — niech się przepisywacz martwi. Najporęczniej jest wklejać scotch-tapem, ale jeśli praca trwa nad książką lata, należy go zastępować klejem, bo scotch-tape po dłuższym czasie wysycha i odpada.

Jeśli w trakcie pisania coś się przepomniało — najprościej jest nie wkluczać tego wklejając do tekstu powyżej, tylko pisać nie krepując się w dalszym ciągu i tylko na marginesie flamastrem zaznaczyć ten nowy tekst jedynką, a ten, już napisany, który ma znaleźć się pod nim — dwójką.

Dla przejrzystości książki ważnych jest pięć znaków graficznych: 1) inny krój czcionki w tytułach, 2) inny w podtytułach, 3) inny krój czcionki w tekście w cytatach 4) przerywniki ważniejsze wyrażone znakiem graficznym (trzy gwiazdki) itp. 5) przerywniki mniej ważne, zaznaczone odstępem dwu wierszy między akapitami. W wszystko musi być doskonale zaznaczone w brulionie, wręcz wskazaniem, który znak oznacza jakie litery (duże czy małe), ich odstępy, rodzaj podkreśleń.

Dokończenie na str. 17

Kamena str. 5

BIAŁE MIASTECZKO

Jan Maria Gisges

PAMIĘTASZ, Donat, naszą wędrowkę w północno-zachodnie rubieże Bułgarii, w świat żyjących kamieni? W przedziwne skały czyniące wrażenie jakby przed milionami lat czart przekleństwem przemienił łagodne olbrzymy w rdzawe ogromne i tłumne posągi. Lecz teraz w niskim jesiennym słońcu jak gdyby na nowo zaczynały ożywać. Czym narazili się złą? Swą dobrocią? Tuż nie opodal pozostała po tamtym czasie straszna skamielina, która ludziom z Białego Miasteczka rozłożonego szeroko w dolinie mogła przywodzić na myśl piekło, piekielne męczarnie i piekielne kolory; mogli nawet sami sobie to piekło stworzyć swoją wyobraźnią; tu bowiem do dziś istnieje czerwona jak rozlana krew jaskinia pełna dziwów niezwykłych i niesamowitych, jaskrawych i potwornych oberwanych uszu, skamieniałych zwisających szat pozostałych po skazańcach, karminowych zastępych sopli, które swą barwą nie ugaszą pragnienia, zardzewiałych narzędzi tortur, wypalonych pustych dzbanów i brunatnych nawisów grozących zdawałoby się w każdej chwili odpadnięciem i zmiażdżeniem śmiałka, który by się pod nimi usiłował ukryć.

A szczyt najwyższy, u którego podnóża świeci miasteczko białymi ścianami domostw jak dla karzełków tak maleńkich widzianych z tej jego wysokości. — Czy to nie czuwający od tysięcy lat ogromniasty łeb szatański zmierzwiłony kamieniami, że sterzącymi potężnymi rogami, nieszczerście ludzkie, niedola człowiecza? — Tu, na tym łbie, Rzymianie dostrzegłszy groźbę i niedostępność góry, niewielkim wysiłkiem zbudowali strażnicę, ażeby stąd władać podbitym ludem. W kilka zaś wieków po nich, straszliwsze jeszcze władztwo zaprowadzili Turcy, stawiając twierdzę na tym miejscu przez lud przeklętym.

Przerwałem na chwilę opowiadanie, aby móc odejść od dosłowności zapamiętanego obrazu.

Językoznawca korzystając od razu ze sprzyjającej okoliczności, przyglądziwszy resztki siwych

włosów, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pudełko cienkich kubańskich cygar, przygotowując się do skupionego i skrupulatnego przycinania jednego z nich.

— Wracam do moich olbrzymów. Pamiętajcie, państwo, owe kamienie jak ludzie na Wyspach Wielkanoenych? Albo druidyczne kamienie Francji, sławne menhiry ciągnące się pod Carnac aż kilometr? Albo może aleje posągów w Didymie w Azji Mniejszej? Te były dziełem ludzkich rąk. A tę bułgarską rdzawo odzianą ciżbę stworzyła natura, układy skalisk, olbrzymy, kamiennych ludzi w płaskich fantastycznych czerwonych beretach pełnych uroku postaci: Adama i Ewy, Jeźdźca, Uczennicy, Madonny i ile ich tam jeszcze zastęgi.

— Ta pradawna epoka, jaką teraz sobie i wam tworzę, musiała być czasem rozkwitu tego kraju, było to takie jakieś owocne odrodzenie, w którym tamci ludzie po latach prymitywu i ciemnoty odkrywali okrutne piękno dookólnej przyrody, choćby tę kędzierzawą niskopinną wysokogorską roślinność, która nikogo nie żywiła, odkrywali piękno życia: kolor jako źródło myśli i natchnienia, słowo jako wiedzę o sobie samych, dźwięk i głos, które wypełniały ich świat ruchem, jako siłą. Owi wielcy ludzie, których ożywił w tej chwili, może sięgnęli do zastrzeżonych tajemnic natury, albo może jej się sprzeniewierzyli i dlatego zostali przez nią ukarani, może zapragnęli siebie w niej zobaczyć i siebie w niej uwiecznić — Może. Popelnili więc grzech podobnie jak ludzie renesansu.

— Dlaczego właśnie renesansu? — zdziwił się Donat, spoglądając na mnie z kąpiącym nieco uśmiechem z tych swoich podłużnych okularów.

Emerytowana nauczycielka języka niemieckiego poruszyła się niespokojnie we fotelu jak gdyby w ten sposób usiłowała zaprotestować przeciwko przerwaniu tak nietaktownie mojej opowieści.

Nie odpowiedziałem od razu czeskiemu pisarzowi.

— Kiedy patrzyłem z kamiennej półki na ów zielony dziki a przecie łagodny krajobraz zaludniony w tak niesamowity sposób, przypomniałem sobie Jonathana Swifta krainę Brobdingnagu, a więc jego mądrą przypowieść o współczesnej mu rzeczywistości. Ja oczywiście obecnie nie czynię żadnych aluzji do naszej współczesności. Zastanawiałem się wówczas, co mu nasunęło myśl napięcia takiej przypowieści. — Jakże mógł mieć skojarszenia? Co stało się z jego twórczą inspiracją? Jednak nie odpowiedzi na te postawione sobie pytania zajęły mnie natenczas naprawdę, choć dotyczyły spraw najważniejszych dla twórcy, jakim jest pisarz, to znaczy życia wiążącego z jego dzie-

łem, utworu wynikającego z tego życia. Kraina bowiem Brobdingnagu była wytworem wyobraźni potrzebna autorowi do zbudowania metafory, a ja spotkałem się z prawdą, ze światem namacalnie rzeczywistym, którego nie musiałem nikomu podawać do wierzenia. Istniał i istnieje poza mną, bez względu na to, czy ja go widzę, czy nie. Był i jest niezależny od mojego umysłu, to znaczy fantazji. Dlaczego właśnie ten tak bardzo realny świat mnie zajął? Dlaczego jego obecność tak mocno utkwiła w mojej pamięci? Dlaczego pomimo owej niesamowitości, ten pejzaż stał się moją własnością? Czy tylko urok i niezwykłość mi go utrwaliły? Bo przecie nie czulem lęku patrząc w zielone przepaście, gdzie pasły się owce, turyści rozstawiali trzy namioty, a z prawa ku tej dolinie z Białego Miasteczka wyszła strojna kapela, tancerze i śpiewacy przybrani w tutejsze ludowe stroje przypominające z daleka ukwieconą łąkę pełną białych stokrotek, czerwonych maków i ciemnych, fioletowo-modrych łubinów. Nieskończona piękno natury dzięki ruchowi owych ludzików, odbierających jej zresztą kamienny spokój, zawierało w sobie majestat trwania, powagę i potęgę dzieła plastyka, który geniuszem umysłu stworzył rzecz jedyną, niepowtarzalną. Może przemawia przeze mnie miłość historyka sztuki, ale wiedzieć, że prawda rzeźby i koloru tego zakątka nie umiera.

Po chwili zadumy mówiłem dalej:

— Jest jeszcze inna prawda. W dziejach rodu ludzkiego, nawet tych niedawnych, tupotem butów przemierzali Europę ludzie kamienie, ludzie zobojętniali na cudzy ból, cierpienie, głód i strach innych ludzi, podobnie jak to działo się na tej ziemi przed dwoma tysiącami lat i przed pięciuset latami. Wtedy kamienie stawały się ludzkie, opiekuńcze i przyjazne każdemu człowiekowi, który tutaj podążył, tu szukał ratunku i schronienia.

— Tworzysz sobie legendę o zwyczajnych kamieniach. Po co to czynisz? — wzruszył ramionami Donat. — Po co wspominasz czasy okrucieństwa?

Odpierłem mu pytaniem:

— Czy legenda, mit, nie są potrzebne człowiekowi w każdym czasie? Nawet jako przestroga? Czy nad Białym Miasteczkiem gdziekolwiek się takie znajduje na ziemi, nie wiszą ogromy zagadkowego przeznaczenia? Siedzimy obecnie w klasztorze, więc w miejscu, gdzie umartwiano ciała po to, ażeby bogacie ducha. Jeżeli więc los kazał nam tu się spotkać i przebywać, dlaczego nie mielibyśmy kontynuować zadania, jakie wyznaczono ongiś temu miejscu i bogacie wiedzę i wyobraźnię?

SIEDZIELI podówczas w Belwederze ze Stokłosem na stariej kanapie, ulokowani w pokoju adiutanckim, głowami ku sobie nachyleni niczym spiskowcy, bali się podnieść głos, mówili prawie szepsem. Biegł ich tu usadowił, kochany Florek, niepomyślny na swe funkcje, serdeczny i życzliwy, zabiegany i kręcący się po całym pałacu. Oni drżeli z przejęcia, pierwszy raz zobaczyć mieli Komendanta po powrocie z Magdeburga. Zajęty był, wszystko na jego głowie — wojsko, polityka, kontakty z zagranicą. W hallu wisiały czapki generalskie różnych kształtów i krojów jakby pozostały je tutaj na pamiętanie wszystkich armie zaborcze, a obok cylindry, meloniki, kapelusze lub zwyczajne granatowe maciejówki. Dygnitarze i polityczne tuzy kroczyli poważnie po śliskiej, jeszcze przez Niemców nawoskowanej posadzce, od ich postawy przecieżył byt Polski zależał, pomyślność rządów i przyszłość kraju. Każdy przychodził tutaj do Belwederu z projektem zbawienia ojczyzny, prezentował słowem swe znaczenie i potęgę. Nic więc dziwnego, że dla oficerów wezwanych służbowo do Warszawy Komendant nie miał czasu. Biegł, już rotmistrz, uspokajał ich, że nie zapomni o przybyłych, a słowo przyjaciela się liczy. Siedzieli więc w kącie i badali wzajemnie, dawno się nie widzieli.

Stokłos, jak zwykle, pełen animuszu. Opowiadał historię o swoim dziadku, człowieku niewiarygodnie silnym, szlachcicu zagrodowym z Podlasia bo stamtąd wiedli swój ród, z bagien Stokłowizny, że jak przyjeżdżał do miasteczka na jarmark i sobie popił, to zdejmował koło od bryczki i przetrzącał je przez miejscowy „ratusz”. Budowała wprawdzie niewysoka, jednak sięgała pierwszego piętra. Dziadek krzepę miał w rękach jak rzadko kto, koło niczym antyczny dysk mijało dach i spadało

z hukiem na kamienie po drugiej stronie rynku. Tyle, że trzeba je było zaraz do stelnacha nieść, bo potrzaskały szprychy.

— A jak twój pułkownik? — Stokłos zmienił temat, przeszedł do spraw bieżących.

— Siermięga?

— Nie — zaśmiał się major. — Turzecki.

— To on już pułkownikiem? — zdziwił się Giertycz.

— Nie wiesz, nie opowiadaj takich głupstw? Ogłoszono jego nominację w „Dzienniku Urzędowym”, należało mu się to, pułkiem dowodzi, teraz wszyscy bracie w górę jedziemy — spojrzal na szlify porucznika: tylko dwie gwiazdki, urwał jakby popełnił nietakt. I westchnął. Ciężko żyć, by praworządność zachować, a wroga przytłumić — narzekał. Z jednej strony masy wszędzie podniosły głowę i praw dla siebie żądają, z drugiej kapitał czyha tylko, by sięgnąć po władzę. Biedny ten kraj między młotem i kowadłem, rozedarty pomiędzy miejscowe królewstwa, każdy pragnie od Warszawy jak najwięcej otrzymać, nie w zamian nie dać. I każdy sprawuje rządy jakby był jedyny, ten twój Siermięga również na władzę się kroi.

— Wiem — szepnął Giertycz.

Przed odjazdem wezwał go do siebie, rozparty niedbale w fotelu, w austriackim jeszcze mundurze, choć przy polskich znakach, zapytał, po co go wzywają, a gdy porucznik nie odpowiedział, bo prawdę powiedział sam nie wiedział, chociaż robił dobrą minę do mętnej gry, upoważnił Giertycz, by w razie czego występował w jego imieniu. — Powiedz staremu, jak go zobaczysz — oświadczył butnie — że on w Królestwie, a ja tu w Małopolsce panem.

Po przyjeździe Giertycz zameldował się w Komendzie Placu. Mimo trzaskającego mrozu poszedł pod Zamek, w nikłym zimowym słońcu świecił niczym ostrze miecza marmur kolumny Zygmunta, a król głowa tkwił tak jak za życia w niebie, w dali poza wia-

ktem Pancera czerniała klatka mostu Kierbedzia na tle spienionej krą rzeki, duże tafle lodu spływały wolno, siniejące i olśniewające bielą, brudna Praga rysowała się niechlujnymi domostwami, białkowiła poza wojskowym polem ćwiczeń cerkiew, już tam za Wisłą zaczynał się wschód, ot można powiedzieć — miasto gubernialne. Tylko ten Zamek Królewski, Krakowskie Przedmieście błyszczące od magnackich pałaców, kościoły i gmachy mimo zaniedbania mogły imponować. Miał dla niego szczególny szacunek, patrzył na nie oczyma Wypiańskiego, jak na wielką scenę historii. Na brukach krew, jak zawsze w tym mieście gwałtownym i rwącym się do walki — tedy szli podchorążowie wzywając do broni,

wu oficerowie i żołnierze w carskich szynelach, tyle że bez pagonów, wojsko tego prawosławnego gienierała lejtnanta Mikołaja Wysogorskiego. Kolka nazywanego zalało stolicę, wszędzie pełno było tych ludzi młodych i zdecydowanych na wszystko, bez zajęcia i środków utrzymania. Odgrazali się głośno po kawiarniach i salach bilardowych, że nie dopuszczą do żadnej rewolucji, ukrecają leć każdemu, kto by się za nią opowiadał, niech ten Kiereński w Belwederze nie przeciąga struny, bo może po raz drugi znaleźć się w więzieniu. Do czego już doszło — skarżyli się — socjały wszędzie objęły rządy, na szczęście z wyjątkiem Księstwa Poznańskiego, ale i tam Rady Ładowe,

KAPITAN

i tu Kozacy szarżowali w 1861 i 1905 r. na tłumy, idące z patriotyczną, czy buntowniczą pieśnią na ustach. Historia w tych murach była czymś bliższym i potrzebnym, to nie parady w kontuszach i z karabelami przy boku, demonstracje złudzeń. Tylko siła się liczy, Bóg zawsze staje po stronie mocniejszych batalionów.

Szedł miastem znajomym, a jednak odmienionym, widział je przed zaledwie rokiem, teraz ruch olbrzymi, oddziały żołnierzy w mundurach feldgrau z orzelkami na czapkach, to zno-

a tu w Warszawie urzęduje czerwony premier, jak tu takiej władzy wierzyć, czy nie bolszewicka?

— W nas tylko nadzieja, w nas jedynych — szepnął po chwili Stokłos. — Przyjeżdżam ja z Zagłębia po rozkazy, trochę porządku zrobiłem, nie pozwolę, aby za moimi chłopcami wołano, że polskie Kozaki jadą. Pomyśl, co za brak wyrobienia patriotycznego, ojczyźnie służymy, a oni nas tak szkalują. Odebrałem broń Gwardii Ludowej, zaraz im rura zmiękła. Nie dopuszczę do

CZAS KRWI CZAS ŚWIATEŁA

Podnoszą powieki i w zmartwychwstaniu żrenic
widzą. Zaraz ważą werbie, powstaną wżgardzeni,
dzwony oznajmiają początek. Bieg bieżnie z naszej woli.
Wyjdą z ukrycia gładni. Tropieni rozpała ogniska.
Od sciany placu odejdą ponizeni. Ślepcy odkryją świat.
Ślepcy przyniosą ziarno, kowale ołowiec. Nie będzie
nieświadomości lęk: kwiaty wyrysowana krwią.
Kobiety odbiorą kochanków, kotłowski zanuca czułość.
Strzelby oznajmiają pokój, ięk odejdzie z przestworzy.
Ptaki ogrzeją gniazda, temiesz wtuli się w skibę,
szandary odświeżą marsz, ziemia obmyśli chleby,
i zaspiewają studnie spragnionym orzeźwienia,
z obietnicą wesela przyjdą do oczu sady.
Powiemy: wiosna A jeśli trzeba: walka.
Krew jest światłem zhańbionych, światła krwią powstających,
Bitwę rozstrzygnie płomień, który z męki i gniewu,
Zranione dłonie w kamieniach otworzą źródła
i będzie nurt. A w nurcie — z natury, ale przeciw —
człowiek. Niech stanie się czas światła!

Czesław Kuriata

BALLADA O POEZJI

W poezji wszystko można powtórzyć
Myśli zbieżność która się zdarza
I rytm co w każdym z nas gra —
Człowiek w poezji się nie powtarza

W poezji często obrazy bywają te same
I rytm co się wyczerpał już do dna
I bywa w niej jakże wielki zamęt —
Człowieka w poezji powtórzyć nie można

Poezja barwę i kształt podobny miewa
I treści w niej znajdziesz jednakie —
Lecz prawdy w wierszu nigdy nie ma
Gdy człowiek tu niezmiennym znakiem

W poezji wszystko można powtórzyć
Słowa jakże podobne w brzmieniu —
Człowieka tylko powtórzyć nie można
Bo nie powtarza się on w istnieniu



Fot. J. Mirosław

Anna Markowa

CZEKAM CIERPLIWIE

Czekam cierpliwie na dzień
Gay powieuzą:
Oto jest starsza pani bez godności
Taka z tytułu filmu
Czego szuka między młodymi?
Ma prometejskie ciągnotki
Jej się zdaje
Ze tu jest ogień
Ze można go ukraść
Można przetoczyć krew
I znowu czas się odwróci
Jej się zdaje —

Czego tu szuka?
Na co ona liczy?

Czekam cierpliwie

Liczę coraz skrzętniej
Miesiące lata
Grosze i złotówki
Meble i książki
Śluby i pogrzeby
I narodziny
Godziny liczę
I czekam cierpliwie
Już dosyć bliski jest dzień
Gdy powiedzą:
Oto jest starsza pani bez godności
O co jej chodzi?
Swoje już przeżyła
Dobranoc pani

Dobranoc —

strajków, chociaż jestem za ludem
pracującym, kapitału nie kocham.
Właściciele kopalni obawiają się re-
woity, niektórzy pakują manatki i na
Zachód myślą ruszyć, popłoch zupełny.
Krzyczą, że Polska czerwona, oni tu
żyć nie mogą, niech wraca z Paryża
Rudawa, on jeden porządek zaprowa-
dzi. No, oczywiście, i na nas uważnie
patrz, możemy ich tylko czynami
przekonać.

Mówił dość długo, jak to Stoklos,
gęba mu się nie zamykała, a uchem
strzygił, czy Bieglisz drzwi nie otwiera,
czasem wpadł któryś z zarozumiałych
adiutantów, niekoniecznie nawet
samego Komendanta, lecz któregoś z
generałów, spojrzal po pokoju, przed
majorem na baczność stawał, poruczni-

wojna wybuchła. Giertycz skinął głową
i on też poznał osobiście dzisiejszego
premiera Sowietów, a jakże, pamiętał
go nienajgorzej. Więc ten Siermięga —
ciągnął dalej major — postawił na lu-
dową kartę, z Miethica wodził się pod
rękę publicznie, niemal w sukmanę
chłopską strojąc, Horostańskiemu nisko
czapował.

— Horostański premierem nie został?
— przerwał mu Giertycz.

Nie został, bo nie mógł. Nikt go uz-
nać nie chciał, mimo iż mu Komendant
funkcję i urząd proponował. Za czer-
wony on, ale Siermięga tego nie roz-
umie. On płynie z prądem wydaje mu
się, że ci krzykacze z ulic rządzić będą,
chce sobie przyszłość zabezpieczyć. Wy-
stępował przeciw pańskiej tradycji

który do kraju zjechał, obwołują pre-
zydentem.

— Jest w Warszawie? To świetny
pianista — ucieszył się Giertycz. —
Czy będzie dawać jakieś koncerty, po-
leciałbym zaraz...

— Pianista, nie pianista. Komendant
nie pozwoli mu zagrać nie innego jak
tylko własną melodię Podda mu, przy-
najmniej tak sądzę, właściwy ton, a ty
Muś, nie zapędzaj się, dobrze ci radzę,
boś politycznie słaby a takim to mogą
teraz gdzieś palce przyciąć.

Chciał coś jeszcze dorzucić, ale w
drzwiach stanął major Makary, zoba-
czywszy Giertycza, skinął na niego.

— Pozwólcie za mną! — powiedział
cichym, znużonym głosem. Obciągnął
licho leżący na nim mundur, w którym
nigdy się dobrze nie czuł, poprawił pas
ze starą koalicijką.

— A ja? — sprężył się Stoklos.

— Was majorze, o ile się orientuję,
przyjmie za chwilę Komendant. Do-
czekacie się swojej kolejki, tego moż-
ecie być pewni, tylko cierpliwości. Bieglisz
mówił o waszym przybyciu.

Zabrał Giertycza ze sobą do bocznego
pokoiku, ciemnego i niskiego, jakiś
składzik podręczny może, niby komórka
niepozorna, usiadł przy kulawym sto-
liku, Makary pochylił się i szepnął na
ucho.

— Zameldujecie się na placu Saskim
u Szefa, nie dziś, nie jutro, nie zapom-
nijcie o tym, bo by wam później stolka
podstawił, gdyby dowiedział się, żeście
do Warszawy przyjechali i nie zgłosili
się do niego. On stara wiarę zbiera,
jeszcze jego czas nie nadszedł, ale na-
dejdzie, nadejdzie, zapewniam was.

— Byłem w Komendzie Placu —
wtrącił porucznik.

— Nu, ładno — uśmiechnął się przy-
zwalając Makary. Ten uśmiech na jego
ponurej twarzy był czymś dziwnym. —
Postąpiliście jak prawdziwy służbiści,
bardzo to się wam chwali. Leb, widzę,
macie nie od parady — zmrucił oczy.

W pierwszej chwili Giertycz zgłupiał,
sądził bowiem, że Makary kol z niego,
okazało się, że mówi zupełnie serio. —

Dobrze, że was tam widzieli, nam to
jak najbardziej na rękę. A teraz słu-
chajcie uważnie, powiem, co was czeka.
Przed wszystkim przypnijcie sobie
trzecią gwiazdkę. Bieglisz ją wam wy-
kombinuje, dekret nominacyjny już
jest, gratuluję więc, kapitanie — i
uściśnął mu silnie rękę.

Giertycz oszołomiony wprost nie
wierzył swemu szczęściu: kapitan
Giertycz tak, to brzmi wspaniale, nie
jest się już porucznikiem, którego
każdy lekceważy.

Makary dalej wydawał dyspozycje,
prawie szeptał mu w ucho.

— Na dziewiątą pójdzicie do adwo-
kata Kraski, adres macie na kartce,
zgłosicie się tam, będzie dużo ludzi.
Oświadczycie, żeście z frontu, spod
Przemyśla oficer Siermięgi, mówcie o
tym ostrożnie, gdyby to mogło się na
coś przydać I nie wolno wam się ni-
czemu dziwić, ani sprzeciwiać, nawet
jeśli by was wysłali z plutonem na
Belweder aresztować...

— Nie, nie, nie! — podniósł głos
Giertycz. — Do tego mnie nie nama-
wiajcie, wszystko byle nie to!

— Kapitanie, ja wam niczego nie
proponuję, wydaję rozkaz — oświad-
czył twardo Makary. Znowu zmrucił
oczy, wbił wzrok w Giertycza. Wstał
z krzeselka, ściskając mu rękę wypy-
chał jednocześnie do adiutanckiego po-
koju, gdzie już nie było Stoklosa. —
Pamiętajcie — dodał na pożegnanie: —
Waszym zadaniem jest być. I nie
zapominajcie też, że mieć trzeba „kal-
tes Blut und warme Unterhosen”, ro-
zumiecie?

Fragment powieści „Krwawe
skrzydła”, która ukaże się nakła-
dem „Czytelnika”

GIERTYCZ

Lesław M. Bartelski

ka nawet nie pozdrowił, bo oni zawsze
w wyższe zapatrzeni szarże.

— Tak, bracie — ryknął nagle Sto-
klos — położenie nad wyraz trudne,
nie na naszą głowę. Niech on się mar-
twi — zciszył głos.

Można się było od niego wiele rzeczy
dowiedzieć, Giertycz czuł się przy nim
ciemny niby tabaka w rogu. Stoklos
protekcjonalnie, z pewną wyższością w
głosie dzielił się wiadomościami. Sier-
mięga na Lenina chętnie się powoły-
wał, z Krakowa znał go jeszcze i z
aresztu w Nowym Targu wyciągał jak

ostro, widzi mu się państwo nowe, lu-
dowe. A znowu Wysogorski, Nikołaj
Aleksandrowicz, uważa się za spadko-
biercę hetmanów, najwyższego rangą
wojskowego w kraju, za adiutantów
brał tylko takich, co nie jeden krzyż
św. Jerzego zdobyli, hrabiów i dzie-
dzieców proteguje, w odwodzie trzyma
całą swoją zgraję, by rzucić ją na
Polskę, a do Paryża emisariusza wy-
słał Rudawie świadczyć swe służby.

— Ot, widzisz, jaki kram — jęknął
Stoklos. — Z jednej strony negocja, z
drugiej tromtadacja. Paderewskiego,

OSTATNI

Jan Parandowski

ZJADŁ smaczny i obfity obiad, co mu się teraz rzadko zdarzało, i jeszcze tłusty Ksutos dwa razy dolewał mu wina do kubka. A było ono inne niż zawsze, smakiem i zapachem wodziło go po wyspach Morza Egejskiego. Na żadnej jednak nie umiał się zatrzymać. Tak jak w swym wędrownym życiu. Ksutos, jakby się domyślił, rzucił mu:

— Chios.

A więc to samo wino pił Homer. Od wczoraj był przekonany, że Homer pochodził z Chios. Był na odczytanie sławnego gramatyka, który przedstawił na to nieodparte dowody. Z pustym już kubkiem w ręce zawolał:

— Tym winem, gdy już wiem, skąd pochodzi, powinienem wypić za nieśmiertelną sławę Homera.

Ksutos wskazał na hydrię.

— Tam jest napój, godny poetów: w naszym zdroju kąpały się boginie.

Zaniósł się hałaśliwym śmiechem, wabił tym nowych gości, lepszych od tego łachmaniarza, którego żywił i poił za naukę swych synów. Nauczyciel posmutniał, zwiesił głowę, wiedział, że już niczego dziś nie dostanie. Ze wstrętem patrzył na swego chlebodawcę, na jego tłuste policzki, zawsze błyszczące potem, na wypukły brzuch, rozpierający to co grubas nazywał chitonem. Obwieszał się starymi, dostojnymi słowami, nie wiedząc, co znacza.

Sięgnął jednak po hydrię. Woda była w istocie cudowna „Boginie się kąpały”. Oto co z nich zostało. Na tych tłustych wargach. I tak samo spadały one na niego nie wiadomo skąd, jak ów przydomek Ksutos, który stał się jego imieniem może jeszcze w młodych latach, gdy ktoś przezwiał go tak ubawiony jego żółtą skórą. Ten żart przyłgnął do niego na zawsze, drażniący w uszach tych, co pamiętali to imię z „Ijona” Eurypidesa. Nauczyciel rozejrział się po gospodarstwie: chyba nikt poza nim nie słyszał tu o Eurypidesie albo może słyszał w latach szkolnych, a później doszczętnie zapomniał. Ci, co już siedzieli przy stołach, jak i ci, co wchodzili z ulicy, byli to kupcy, zażywni, jak sam właściciel, albo urzędnicy, nie wysocy w swoich tytułach, ale ważni w stroju, w postawie, a i we wszystkim czym mogą zaszkodzić lub — co rzadsze — pomóc. Ksutos pocił się i krzątał. Nauczyciel siedział w milczeniu nad swoim kubkiem wody. Chciał stać wyjść, uciec, ale trwał na miejscu, bo może ktoś powierzy mu swojego chłopca. I tak się stało: handlarz skórą z sąsiedniej ulicy podszedł i zapytał, czy ma czas zająć się jego synem.

— Będziesz przychodził na obiad, na pewno lepszy niż tutaj, po obiedzie nauka. Dostaniesz jeszcze trochę pieniędzy.

Nie wymienił żadnej kwoty, lecz nauczyciel zgadł, że nie będzie się mógł skarżyć. Handlarz spojrział na jego smętne sandały.

— No, i dobrą skórę na twoje nogi. Zgadzasz się?

Zgodził się i umówili się na jutro, ale handlarz kazał mu jeszcze dać kubek wina „na szczęście”. Pił je drobnymi łykami, jakby chciał odczuć smak szczęścia. Zapewne codzienny obiad, raz tu raz u sąsiada był dla biedaka szczęściem.

— Mam trochę książek w domu, po ojcu, który lubił czytać.

Nauczyciel nazajutrz przekonał się, że to, co mu handlarz dorzucił na ostatku, miało największą wartość. Było tego ze dwa tuziny, ale same najlepsze; i Homer i Eury-

pides i Platon, ach, nie mógł się nacieszyć ich widokiem. Chłopiec, który stał obok, czekając na zaczęcie nauki, miał jakieś 10 lat, ale był nad wiek wysoki i rozwinięty. Pisać i czytać umiał. Nauczyciel podał mu książkę: „Fajdrosa” Platona. Chłopiec czytał wyraźnie, jasno, bezbłędnie Lekki, świeży głos wysnuwał z pergaminu rozmowę Sokratesa z Fajdrosem, ich spotkanie przy świątyni Dzeusa, ich drogę za miasto. I boso biegł po kamkach przez wąską stróżkę; pachniały drzewa, trawy, cykadę grały. Stary nauczyciel zapadł w tę opowieść jak w sen. Ocknął się, gdy chłopiec przestał czytać i patrzył na niego, jakby oczekiwał, że mu coś powie, wyjaśni, o coś zapyta.

Czy wiesz, kiedy to wszystko było napisane? No, nie wstydz się, nie wiesz, mało dziś ludzi



Rys. E. Ingłot

wie. Zapamiętaj sobie: osiemset lat temu. Osiemset lat! Tak, mój mały, wielki czas, nie do ogarnięcia. A widzisz, jak tu wszystko kwitnie i pachnie, jakby to było dzisiaj. I jeszcze minie drugie osiemset lat, a ta książka nie zwiędnie i to, co w niej napisane, będzie wyciskać łzy z takich starych oczu, jak moje i błyszczyć zachwytem w takich, jak twoje, młodych oczach, i każde słowo Sokratesa podnosić będzie serca i uskrzydlać myśli. Nie powinno się tego czytać w takiej izbie gdzie w warsztatu wciska się niemila woń skóry, ale wśród drzew i kwiatów nad strumykiem. Nie ma tu tych rzeczy, ale tam jest morze. Mamy do obiadu jeszcze dość czasu. Idź, powiedz ojcu, że będziesz miał dziś naukę nad morzem. Pójdę na-przód.

Chłopiec dogonił go za chwilę. Ojciec pozwolił.

Do morza było niedaleko, lecz nauczyciel wymyślił tę część wybrzeża, która była pełna statków i łodzi, i znalazł samotną ławę kamienną, którą obryzgiwała piana wysokich fal.

— Tu nam nikt nie przeszkodzi. Ta rozsypująca się w gruzy świątynka już nie ściąga ludzi, którzy przychodzili, by się pokłonić Posejdonowi.

— Kto to był Posejdon?

— Biedne dziecko! Najpierw nie mów: był, ale jest. Posejdon, bóg

morza, który po tych wodach jeździ na rydwanie, zaprzężonym w cudowne konie.

— Jest tylko jeden Bóg.

Mały przeżegnał się i pochylił głowę jak do modlitwy. Nauczyciel milczał. To, co myślał i czuł, to, czym żył zawsze, nie było jego wyłączną własnością, należało do tej ziemi, do tego morza, do tego powietrza, tak samo nasyconych obecnością bóstw, dawnych jak świat, którym teraz odmawiano życia. Zdarzało się to już i dawniej, filozof Epikur odbierał bogom rzeczywiste istnienie albo pozbawiał ich wszystkiego, co świadczyło o ich obecności. To było też dawno — jakieś siedemset lat temu. Lecz bogowie nie ustępowali nigdy i wbrew pozorom nie zmieniali się w swej istocie. Nigdy nie brakło dusz czujnych na szepty nimf w lasach i wodach, z każdym gromem dawał znać o sobie Dzeus, ojciec bogów i ludzi. I tak samo jest dziś wbrew wszystkiemu, co mówią kapłani jedynego Boga. Nie jest on moim bogiem, tak jak nie jest bogiem tego morza, ani tej ziemi. Płynie w nas święta krew helleńska.

Chłopiec słuchał i czuł jak w nim taje sprzeciw. Poddawał się tym słowom, tak nieoczekiwanym, i nie wiedział, gdzie jest i czym jest: może strząsnął ze siebie parę lat i jako małe dziecko kołysze się do snu bajkami swojej babki, a może dojrzał w tej jednej godzinie i równy staremu nauczycielowi wraca z nim do kraju swych przodków, tego po którym chodzi, a który jest i ten sam, co wtedy, przed wiekami i ten, co dziś, odmieniony myślą obcą krwi helleńskiej. Krew helleńska! Te dwa słowa wstrząsnęły nim, drżał i był bliski płaczu.

Stary nauczyciel nie wiedział, co się dzieje w duszy chłopca, żył tym co w nim żyło, mówił do siebie, do morza, migocącego w słońcu, do miliardów dusz, które czuł w nieobjętej przestrzeni. Z jego słów świat rozdził się na nowo z chaosu, na nowo wyłaniał się Uranos a pod nim Gaja otwierała swe płodne łono. Bogowie wschodzili jak gwiazdy, od każdego szły promienie w głębokości. Szeptem stary człowiek wymawiał ich imiona. Było ich w końcu tak wiele, że nie starczyło miejsca dla ludzi, gór, dolin, miast. Jak świat, oczyszczony potopem, tak ten, wywołany głosem nauczyciela, był utkany z jutrenki, różowy i srebrzysty, nie się w nim nie działo, był samym oczekiwaniem.

A gdzie się podział czas mierzony latami, miesiącami, dniami? Kto zakłócił czy zatrzymał ich bieg? Przecież to jest ta sama pora, ta sama ława kamienna, ten sam luk zatoki, i tak samo stary człowiek mruży oczy od blasków słońca na falach. I ten sam głos odzywa się w nim imionami bogów i serce drży tą samą tęsknotą. Miał wtedy dziesięć lat i uniósł na całe życie godzinę spędzoną tu z nauczycielem. I jego już dawno nie ma na świecie nawet nie wie, gdzie jest jego grób, tyle odtąd grobów obrośło łata, pełne zdarzeń. Dziś, sam stary, z zamętu swego życia wynosi tę jedną godzinę i tym samym młodzieńczym zachwytem patrzy w nią i słucha — czego? Głosu swojej krwi helleńskiej.

Bądź pozdrowiona ziemi, święte ciało Gai, bądź pozdrowiony Uranosie błękitny, a i ty mowo ojczyta, w której rodzą się imiona bogów i ludzi i wszelkiej rzeczy, która była pieśnią, zanim sięgnęła po chleb i była miłością, zanim demony wtrąciły w nią słowa nienawiści. Oto minęło tyle lat, a myśl pozostała niezmiennie nowa — dwakroć, trzykroć więcej minie a ci, co będą przychodzić i słuchać — wśród tych gór i skał, nigdy jej nie zapomną.

Tak stary człowiek, niegdyś uczeń równie starego człowieka, na tej samej ławie kamiennej, u brzegu morza, ukolysał się do snu wiecznego.

NIE umarłem. Za oknem słońce oświetlało wierzchołki sosen w ścianie lasu. Od połowy wysokości były już pograżone w głębokim cieniu. Pierwsze komary usiadły na muslinowej zasłonie, ale nie zauważyłem żadnej muchy. Jeszcze nie było czuć trupem. Ból, jakby ukłucie szpiczastym nożem w samo serce, emil rytmicznie i falująco. Usiłowałem go umiejscowić, choć wiedziałem, że to niemożliwe. Tylko EKG pozwala dokładnie określić, gdzie tworzy się rana i jakie są jej rozmiary. To bardzo ważne, która część serca została uszkodzona. Gdybym miał możliwość ściągnąć tu Edwarda, przyjechałby z elektrokardiografem, zaraz wezwałby Pogotowie i wzięliby mnie do szpitala. Nie. Dwukrotnie już tam byłem i dosyć. Nie warto dalej się męczyć. Osiem lat ustawicznego następowania, czy to już ten trzeci, ostatni. „Blok serca usposabia do nagłego zgonu”. Wciąż bóle wieńcowe, wciąż pigułki, tabletki, drażetki, krople. Do diabła z tym!

A jednak! Luminal leży na blacie nocnej szafki. Rano trzymałem w dłoni napoczęte opakowanie, ale zażyłem tylko jedną tabletkę. Dziesięć wystarczyłoby prawdopodobnie, żebym się więcej nie obudził, ale kiedy ważyłem je w dłoni, nagle zachciałem obudzić się. Cholerny instynkt życia. Smieszne!

Od tego momentu robiłem wszystko, by się ratować. Byłem zdany tylko na siebie. Musiałem przygotować wszystko, co będzie potrzebne, gdy się obudzę, o ile obudzę się w ogóle. W ciągu dwu, może trzech dni, nikt nie przyjdzie do mej pustelni. W najlepszym razie Szulcowa wpadnie pojutrze z bańką mleka. Do tego czasu nie mogę liczyć na żadną pomoc. Chyba jakiś przypadek kogoś sprowadzi.

Kiedy pomyślałem o Edwardzie, mimochodem rozważałem ewentualność udania się do Szulców, leśną ścieżką przez gąszcz pokrzyw i malin, wzdłuż jeziora. Dwa kilometry. W tym stanie, w jakim się znajdowałem, musiałbym iść pół godziny, albo wieczność. Przedzając wieczność Odrzuciłem ten pomysł. Wyobraziłem sobie, że wpadłem gdzieś w pokrzywy. Jeśli od razu bym nie kipnął, męczyłbym się, Bóg wie jak długo. Zarłyby mnie mrówki, klęły komary, cięły muchy i gzy, w końcu zdechłbym jak leśne zwierzę i znaleziono by zwłoki kiedy zaczęłyby cuchnąć. Może przedtem miały by frajdę lisy, psy czy dziki; one też lubią padlinę. Ścieżką prócz mnie nikt nie chodził. Sam ją wydeptałem. To był głuchy zakątek lasu, ostoja zwierzyny. Żadnej szansy.

Nie podobała mi się głównie perspektywa dłuższej męczarni. Podejmowałbym na pewno daremne próby dotarcia do Szulców. Już wszystko jedno, co po śmierci, najgorsze, co przed nią. Tu w pokoju i na łóżku mogłem umierać komfortowo mając pod ręką do wyboru różne środki nasenne uspokajające i usmierzające ból. A gdybym w dalszym ciągu bardzo pragnął żyć (pragnąłem), posiadałem w niezbędnej ilości najlepsze leki krajowe i zagraniczne, ciulane na wszelki wypadek, który przedzję czy później musiał się zdarzyć. Oto zdarzył się. Nie był żadnym zaskoczeniem, przemyslałem go setki razy, chociaż nie byłem

POMALU już, z hałasem i awanturami, rozeszli się przecież ostatni goście i sala była pusta prawie; przy wciśniętym w kąt stoliku tylko chłopak i dziewczyna. Byli oboje bardzo młodzi i siedzieli przy tym bocznym stoliku od paru godzin już. Widzieć i słyszeć musieli siebie nawzajem tylko: stąd pewnie wynika ich śmiałość pozostawiania tu teraz jeszcze. Kelnerka, rozjątrzona niedawnymi awanturami ruszyła ku nim z rozpędu; zawałowała się naraz. Przystanąła. Chwyciła z nagle pierwsze z brzegu krzeselko i ustawiła je na stoliku do góry nogami; ta jeszcze robota dziś do niej należała. Z hukiem stawiła te krzeselka, zerkając od czasu do czasu na tamtych dwoje. Patrzyli sobie w oczy i trzymali się za ręce; od nie wiadomo jakiego czasu trwali w tej pozycji. Trzaskając krzesłami, zbliżyła się kelnerka ku nim, aż wreszcie stanęła nad ich głowami. Chłopiec odwrócił na chwilę oczy; spojrzął ale nie zauważył jej. Kelnerka podniosła wolne krzeselko odwróciła je w powietrzu zręcznie i postawiła na stoliku tuż obok ich splecionych rąk. Teraz oboje odwrócili ku niej twarze; na mgnienie tylko. Kelnerka

wcale pewny, czy postąpię tak, jak myślałem. A teraz o godzinie 19.40, lub może później (nie chciało mi się nawet spojrzeć na zegarek), myślałem o tamtych wszystkich myśleniach i tym ostatnim sprzed jedenastu godzin, że na razie zgadza się. Siedząc rano na łóżku, bo ból złapał mnie zanim wstałem, więc siedząc na łóżku nawet nie za bardzo albo wcale nie wystraszony, już zdeterminowany bronić życia, a przynajmniej bronić się

Stół znajdował się po drugiej stronie łóżka oddzielając je od ściany i okna. Na blacie przykrytym ceratą stał fajansowy kubek z resztką niewypitego mleka i talerzyk, na którym pozostały okruchy twarogu. Musiałem koniecznie udać się do kuchni, aby ze spiżarki wyjąć coś do jedzenia i do picia na potem, kiedy obudzę się głodny. Od wczoraj zostało mi więcej niż litr mleka, ser, jajka, trochę wędliny i pół bochenka wiejskiego chleba, pieczonego przez

Promienie słoneczne wpadające do pokoju ogrzewały mi nogi. Leżałem nie przykryty, a nogawki piżamy zatrzymały się na wysokości kolan odsłaniając łydki opalone i jeszcze dość zdrowe. Tylko na prawej ciemniał spory żyłak. Gorzej będzie, gdy zaczną ciemnieć palce — pomyślałem i mrugnąłem półgłosem — ale już tego nie zobaczę.

Zajrzałem do Poradnika terapeutycznego, by się upewnić, czy mimo zażycia

policzone (przez kogo?). Połowa lub więcej naszego myślenia to utarte frazesy pozbawione sensu, bo jakże sens mają te policzone minuty. Wprawdzie z aktualnego układu przestrzennego, jaki tworzyłem, wynikać mogło, że moje serce pokryte bliznami poprzednich zawałów jeszcze uderzy kilkadziesiąt czy kilka tysięcy razy, lecz tylko naiwność kazałaby przypuszczać, że KTOS tak czy inaczej o tym zdecydował. Bóg, Los, Przeznaczenie, czy jakieś inne abstrakcyjne byty zamulające intelekt. Nie wiadomo, po co trudziłem się tymi dociekaniem, jak gdybym chciał koniecznie przed śmiercią ustalić własną tożsamość i porządek świata. Coś jednak będącego poniekąd ponad tym wszystkim szeptało we mnie, że to samoobrona myślącego coraz jaśniej Super Ego i że należy się jej poddać, by nie myśleć o czymś gorszym, co właśnie targnęło mną pod postacią bólu i dominującego nad nim ogromnego lęku. Był to lęk zwierzęcy i niewywołany, zawarty w całym ciele, w każdej tkance, w mięśniach, we krwi, w kościach i ścięgnach. Lęk był mną. Prości ludzie mówią o takich momentach: śmierć mnie przeskoczyła.

Ocknąłem się obłany zimnym potem, choć paroksyzm trwał może sekundę lub dwie.

Jak to dobrze, że przygotowałem następne porcje leków. Wykąłem wszystko i zapilem wodą. Serce bolało mnie, jak poprzednio, lecz wcale nie do tego stopnia, żeby wzbudzić aż taki paniczny strach. To był rzeczywiście metafizyczny powiew śmierci.

Przypomniał mi się ten facet, którego przynieśli na oddział intensywnej kardiologii, kiedy leżałem tam od kilku godzin „pod monitorem”. Zachowywał się dziarsko i nawet nie narzekał, tylko stwierdzał, że go trochę boli. Położyli go naprzeciw mnie i widziałem jakie harce wyprawia błękitny punkcik EKG bez przerwy przebiegający przez ekran jego monitora. Pielęgniarka nie oddalała się od jego łóżka, lekarz przychodził co pół godziny, a ten człowiek wciąż nie zdawał sobie sprawy, jak dalece życie jego jest zagrożone. Opowiadał o tym, co mu się zdarzyło i niefrasobliwie snuł plany na najbliższą przyszłość. W trzydzieści sześć godzin później był martwy. Pierwszy raz umarł o godzinie czwartej nad ranem, reanimacja trwała piętnaście minut. Drugi raz umarł o godzinie siódmej dwadzieścia, reanimowali go przez około czterdzieści minut. Za trzecim razem o dziewiętej trzydzieści siedem dokonał żywota bezpowrotnie. W przerwach między zgonami zachował przytomność i bardzo chciał żyć...

Ogarnia mnie senność... Luminal czy już koniec?

2,43 (osiemnasta godzina zawału)

Nie umarłem...

Fragment większej całości

Zawał

Henryk Panas

przed cierpieniem umierania, wyjmowałem z pojemnego wnętrza nocnej szafki zapasy leków niespiesznie i spokojnie. — Tylko, bracie, bez nerwów — mruzczałem i układałem na blacie to, co wydało mi się niezbędne. Po głębokim namyśle, bo też było nad czym pomyśleć mając wiele do wyboru i w konieczności przewidywania ewolucji zawału, który przebiegać może rozmaicie, przygotowałem trzy pierwsze porcje słosownych, jak mi się wydawało, medykamentów. Ból nie ustawał ani na chwilę, ale nie naprzykrzał się, może dlatego, że skoro tylko go poczułem (sprawił wrażenie zwykłej dolegliwości wieńcowej), zażyłem sorbonit i trzydzieści kropeł mieszanki wyciągów ziołowych własnego wynalazku i bardzo skutecznej. Zwykle w przypadkach bólu wieńcowego sorbonit wzięty pod język pomagał jak nitrogliceryna, w ciągu paru minut. Teraz zaś nie doznałem najmniejszej ulgi. Zanim ból nabral ostrości, wiedziałem, że to zawał. Od obudzenia się minęła godzina, a ten rytmicznie falujący ból trwał i zmuszał do wewnętrznego nasłuchiwania, co się tam dzieje. Stwierdziłem, że bez wyraźnych zmian. — To dobrze — mruknąłem. Samotność nauczyła mnie mruzczeć, gadać półgłosem, monologować, a nawet prowadzić ze sobą długie dialogi. — Na razie dobrze — powtórzyłem i podniosłem się z łóżka z należytą ostrożnością, wciąż wsłuchany w najbliższą okolicę serca.

Po tym wysiłku też nie odczułem żadnej zmiany na gorsze. W dalszym ciągu rozważałem, co jeszcze należy zrobić i po kolei bez pośpiechu robiłem.

Szulcową. Po krótkim wahaniu dałem spokój wędlinie i jajkom, mleko, ser i chleb przyniosłem do pokoju stawiając na stole w zasięgu ręki. Jeszcze raz musiałem udać się po dzbanek z wodą i szklankę. I jeszcze raz do łazienki po basen. Sprawdziłem, czy drzwi wejściowe do sieni są otwarte i zamknąłem na klucz drzwi do laboratorium. Na ogół nie zamykałem nigdy ani jednych ani drugich na noc. Jeśli umrę, a Szulcowej nie wpadnie do głowy zobaczyć, dlaczego nie zjawilem się po mleko, robaki zjedzą mnie w łóżku. Muślin na oknie zrobił się czarny od much zwabionych trupim odorem, będą brzęczeć i toczyć się daremnie szukając jakiejś szczeliny. Nic z tego, całą pracę wykonają robaki, one napocznają zwłoki od środka.

Krzątając się po mieszkaniu zrobiłem w sumie 186 kroków. Innych ruchów nie liczyłem, tylko wciąż nasłuchiwałem jak sprawuje się serce. Zmierzyłem tętno, 78 na minutę. Wkrótce, jeśli będę dalej włóczył się po kątach, może dojść do setki i więcej. Przystawiłem krzesło i położyłem na nim basen. Usiadłem na łóżku i sprawdziłem, czy wszystko, co zostało przygotowane, znajduje się w zasięgu ręki. Nakręciłem zegarek i jeszcze raz zmierzyłem tętno. Bez zmian. To mnie podniosło na duchu. Gdyby nie ból serca, czułbym się normalnie, ale to był tylko pozór, któremu nie dałem się zwieść. Zażyłem tabletkę luminalu, żeby zasnąć na kilka godzin i nie denerwować się bólem. Luminal przytępił wrażliwość, mogłem zażyć dwie, a nawet trzy tabletki, ale wtedy za długo bym spał, a należało pilnować pory zażywania lekarstw w południe i wieczorem.

sorbonitu mogę wziąć skuteczny lek śródzawałowy, jaki dawali mi w szpitalu. Opinia poradnika potwierdziła reklamówkę firmową: Wskazania. Niewydolność krążenia wieńcowego, dusznica bolesna, zawał mięśnia sercowego, zespolenie serca starczego. Dawkowanie: indywidualnie według wskazań lekarskich, przeciętnie podaje się po 1—2 drażetki (a nawet do 200 mg dziennie), trzy razy dziennie. Musiałem sam sobie być lekarzem i postanowiłem zaryzykować jedną drażetkę zawierającą 0,025 g. W przygotowanych na później porcjach dałem po dwie, a także jedną elenium i jedną luminalu.

Jakoś nie umarłem, tylko przespałem południe. Mój otępiłały pod wpływem luminalu mózg zaczął jako tako funkcjonować i odzyskiwać samokontrolę. W szarych komórkach plątały się słowa, zdania i bełkot nie będący ani jednym ani drugim, dźwiękowa magma myślenia, nieskrystalizowana jeszcze, ale już zdążająca do stanu istotnego. Istotnego od istoty swej będącej duchową gadaniną bez ładu i porządku bez sensu. Tylko ex post słowa, zdania i ten bełkot szczególny szeregują się w pewnym porządku, według jakiegoś prawa, drogą selekcji, jak w komputerze. Tylko kto dokonuje tej selekcji, kto nadaje sens temu wszystkiemu, co kottuje się w masie paru miliardów szarych komórek?

Już nie dwoistość, ale troistość natury ludzkiej objawiła się we mnie 17 lipca o godzinie 19.35 lub pięć minut później, kiedy sobie uświadomiłem, że jeszcze nie umarłem, że miałem jakąś niewielką szansę przeżyć ten krach, chociaż być może minuty moje były już

CIAŻA MNOGA

Marian Pilot

stała przez chwilę jeszcze, patrzyła na nich wyzywająco i niezdecydowanie kołysała się w biodrach. Odwróciła się i poszła w stronę bufetu. Z drugiej strony lady barman wytrząsał z metalowej skrzynki bilon, zreżnie rozgarniał groszaki na osobne kupki. Kelnerka przystanąła obok, oparła się łokciem o blat. Na tamtych dwoje patrzyła ciągle. Ustawione na stoliku krzesło zastaniało jej nieco widok.

— Wiesz — ozwała się do barmana obojętnym głosem. — Wiesz, co on do niej mówi — nie odrywała oczu od chłopca i dziewczyny.

— Aha — machinalnie przytaknął barman. Pobrząkiwał bilonem monotonnie.

— Nie wiesz — ciągnęła kelnerka sennym głosem. Ziewnęła nawet.

— Nie wiesz, bo i skąd mógłbyś wiedzieć. On do niej tak mówi: ja cię kocham jak zajaczkę kocha swoją zajaczkę.

— Aha! — odmruknął barman półgębkiem. Zatopiony był w rachunkach całkiem i poruszał ustami, wyszeptując kolejne liczby.

— Zajaczkę zajaczkę — powtórzyła kelnerka poziewując. — Dobry, co?

Barman mruknął znowu coś. Spojrzała na niego. Lyse czoło, policzki, kark, ręce lśniły od potu, palce tylko szare od śnieży. Usta krzywiły mu się od powściąganego ziewania. Kelnerka odwróciła głowę, oderwała łokieć od lady i krzyknęła:

— Zamykamyl
Nie drgnęli nawet. Porwała ją złość.

— Hej, dziubdziusie — wrzasnęła. — Już was nie ma. Wychodźcie!

Podnieśli głowy; musieli nareszcie zauważyć i kelnerkę, i te poustawiane do góry nogami na stolikach krzesła. Zerwali się w popłochu, rozglądali się dookoła nieprzytomnie. Chłopiec wziął dziewczynę za rękę, poczęli się przemykać pomiędzy stolikami ku przejściu. Dziewczyna przytulila się do chłopca; oboje byli tego samego wzrostu.

— Przyjdiesz jutro — szepnął chłopak.

— Tak — powiedziała dziewczyna cicho.

— O jedenastej.

— Tak — powiedziała dziewczyna.

— O! rajt — wykrzyknął chłopak. — O rajt!

Zniknęli za drzwiami i słychać teraz było jak w holu gromi ich szatniarka.

— Co z czegoś takiego może wynikać — powiedziała kelnerka odwracając się do barmana i ze stosiku dwudziestogroszówek wydzielając jedną monetkę. — Z takiego czegoś — odpowiedziała sama sobie — wynikać może tylko ciąża mnoga.

Barman uniósł głowę i zaraz spojrział na swoje zaśmiedziałe palce.

— Mnoga? — zapytał z zastanowieniem.

— Mnoga — powiedziała kelnerka i naraz z całej siły trzasnęła pięścią w blat. Groszaki poleciały na wszystkie strony. Barman podniósł na nią swoje zmęczone królicze oczy.

— Co tobie? — zapytał ze znużeniem.

— Mylisz mi wszystko — dorzucił po chwili. — Co ci się stało.

Kelnerka odetchnęła głęboko.

— Dawaj mi pięćdziesiąt — powiedziała. — Daj mi zaraz pięćdziesiąt.

Kamena str. 9



Fot. W. Stepien

LITERACI W LUBLINIE

Włodzimierz Sokorski

LUBLIN jest położony na wzgórzach i może dlatego cieszy się taką sympatią pisarzy. Ateny, Rzym, Zakopane, Lublin... łatwiej się myśli, chodząc pod górę. Ulice układają się domki w krzywą symetrię, w której człowiek czuje się bardziej związany z ziemią, po której chodzi. I kiedy w wywołonym Lublinie na pierwszym powojennym Zjeździe Pisarzy wybrano Juliana Przybosa przewodniczącym Związku Literatów Polskich, wzruszony poeta powiedział: „To nawet dziwne, że jesteśmy znowu razem, ale w Lublinie wszystko jest możliwe. Nawet „Kamena” będzie wychodzić jak dawniej”. I mimo że Lublin był dwa razy stolicą Polski, a w czasach jagiellońskich odegrał nie byle jaką rolę, jest to miasto bez kompleksów. Nie konkuruje z Warszawą, nie zabiega o tradycje kulturalne. I nie stara się o przeniesienie tu siedziby Zarządu Głównego Związku Literatów, chociaż ważniejsze zjazdy literatów odbyły się w Lublinie. Oczywiście można przypomnieć Łódź w 1947 roku i Szczecin w 1949 roku, ale Warszawa i tak nie ma się czym chwalić. Dyskusje literackie unikają tłoku i hałasu. Wystarczą same za siebie, chociaż przechodzą do historii.

Kiedy Jarosław Iwaszkiewicz z łagodną naganą w głosie strofuje biurokratów instytucji literackich, to i tak wszyscy wiedzą, że co wolno wojewodzie, to nie... itd., o co nikt nie ma pretensji, nawet nieobecni. Trzydziestolecie literatury polskiej piechotą nie chodzi. Stworzyło dzieła wybitne. Przejęło dziedzictwo z rak tak znakomych pisarzy, jak Leon Kruczkowski, Władysław Broniewski, Leopold Staff, Julian Tuwim, Zofia Nalkowska, Maria Dąbrowska, Konstancy Hefons Galczyński, Julian Przybós i tworzy nadal piórem starych, młodych i najmłodszych w głębokim przekonaniu swojej misji, pokornej i niepokornej miłości do prawdy i do zjawisk wiecznie nowych, które wychodzą spod ich pióra.

Pamiętam, jak na Zjeździe Literatów w Lublinie w połowie lat sześćdziesiątych Alfred Łaszowski zaproponował, żeby spór o istotę wyższą odłożyć do czasów reinkarnacji w życiu pozagrobowym. Pisarze byli łagodni, bo mieli poczucie, wbrew krytykom, swojej wartości. Życie i twórczość związali z narodem budującym socjalizm. A że sprawy okazały się trudne, to już nie tylko lech wina, o czym wie nawet Jerzy Putrament i Włodzimierz Sokorski, którego referat o polityce kulturalnej nie potrafił nikt już powtórzyć, również i on sam. Tak czy inaczej, wartości uzupełniają się wzajemnie, dzięki czemu i zjazdy pisarskie stanowią bariery czasu, którymi mierzymy zjawiska, może nie dzieł, ale naszych działań.

Osobiście na zjazdach literackich cenię najbardziej rozmowy przy stole rodaków i spotkania autorskie. W Lublinie ludzie są ciekawi i dlatego dyskusje ze słuchaczami niejednokrotnie są lepszą miarą naszych osiągnięć niż niejedna krytyka, zwłaszcza pisana na biurku przyjaciela. Sam pisuję krytyki i wiem, jaki to trud przeczytać nie własną książkę i jeszcze coś o niej sprostować, co się nie da powtórzyć. Natomiast spotkania mają charakter luźnej rozmowy, w której pisarz jest ciekawostką, obserwowaną na ogół tyżelwie, a odpowiadając na pytania słuchaczy można zgodzić z niepisany prawem, to znaczy należy mówić co się myśli. I kiedy mnie na lubelskim spotkaniu zapytano, czy jestem zadowolony ze swojego stanowiska, odpowiedziałem, że owszem, stanowisko nie jest najgorsze, ma tylko jeden feler, że już z niego awansować bardzo trudno. I tak się stało, dzięki czemu na wrześniowym zjeździe, zjeździe „lublińskim”, po trzydziestu latach wspólnego budowania Polski Ludowej, będę mógł spotkać się z kolegami literatami, jako szczerze wzruszony kolega redaktor, czego i wszystkim życzę.

A swoją drogą minęło trzydzieści lat, gdy w zawierusze wojennej Lublin był jedynym skrawkiem wolnej Polski. O 50 kilometrów dalej toczył się walec wojny. Pod Kurowem zginął poeta Lucjan SzeŃwald. Palła się Warszawa. Życiem ludzkim zdobywało się każda część Polski. Chłopi dzielili ziemię i bronili domostw przed bandami. W drukarniach Lublina wychodziły pierwsze tomiki wierszy, a Jurandot i Grodzieńska w audycjach radiowych mówili po polsku do Polaków. I czy można nie wierzyć, że każdy dzień liczył się wówczas podwójnie i pamięta się go wyraźnie, może bardziej wyraźnie, niż czas, który minął wczoraj? I gdy Jarosław Iwaszkiewicz otworzył jubileuszowy zjazd pisarzy polskich w Lublinie będziemy mieli lzy w oczach. Zdziwi to kogoś? Nie. Nikogo z nas, kto był wówczas i będzie teraz. A nawet wszystkich innych...

Sesja pisarzy, która odbędzie się w Lublinie dnia 3 września 1974 r., w trzydziestą rocznicę reaktywowania po wojnie Związku Literatów Polskich daje powód do zastanowienia się nad niektórymi zagadnieniami trzydziestu lat literatury i życia literackiego w Polsce. Pragnąc na ten temat zebrać opinie przedstawicieli różnych ośrodków w kraju, nasza redakcja zwróciła się do prezesów wszystkich oddziałów wojewódzkich ZLP z prośbą o wypowiedzi. Adherentom naszym postawiliśmy cztery pytania:

1. Jakie literackie zjawiska trzydziestolecia należy uznać za najistotniejsze dla rozwoju kultury polskiej?

2. Jakie wydarzenia, style, kierunki, a także utwory składają się na pojęcie najnowszej literatury polskiej?

3. Co w Pańskim środowisku należy uznać za szczególnie znaczące dla geografii zjawisk literackich w Polsce?

4. Co ewentualnie można zaproponować w celu ożywienia kontaktów międzyrodzinkowych w życiu literackim?

Otrzymaliśmy odpowiedzi od Gerarda Górnickiego (Poznań), Ryszarda Liskowackiego (Szczecin), Stefana Otwinowskiego (Kraków), Bolesława Solińskiego (Zielona Góra) i Leonarda Turkowskiego (Olsztyn). Publikując je sądzimy, że udostępniemy naszym Czytelnikom przynajmniej część opinii o aktualnych problemach pisarstwa i organizacji literackich w kraju.

TROJKAMI NA OLIMP

Gerard Górnicki



Spodziewałem się tego, że „Kamena” zapelni się wypowiedziami rocznicowymi. Będzie znowu wiele nazwisk obok siebie, fotografii, przyjaznych spojrzeń. Ożywienie kontaktów przez dwa dni. Dobre i to — oczywiście. Moim przywilejem jest turystyka. Tygodniami włóczę się po kraju, a jeszcze do tego wyjazdy na spotkania. Rozmowy w autobusach, na wiejskich drogach, w miejskich rynekczkach. Co tam uznam za objawienia naszej kultury, wśród literackich zjawisk? Są książki, po które wyciągają ludzie ręce, jak po chleb — młodzi i starzy. Fascynuje ich osobowość pisarza, jego biografia, uczą się na pamięć jego słów o codzienności życia. Sądzę, że pozazdrościć można Hemingwayowi, a z naszych trójce: Iwaszkiewicz, Putrament, Zukrowski. Kto dalej? Zamieszanie. Czworkami i dziesiątkami, jak pod Troją. Ukazania się nowej książki nie można porównać do wydarzeń sportowych, bohaterów — do piłkarzy i kolarzy, którzy również czytają powieści, a ich opinie rozmijają się z osądami krytyków literackich. Dobrze, że są style proste u jednych i zawile u innych pisarzy, a kierunków więcej, niż stron świata, utworów tak dużo, że obecne pokolenia mogą żyć nie-szczęśliwie w niewiedzy. Jako chłopiec w zachwytem patrzyłem na kolorowe mozaiki w kościele, zapomniałem klęknąć podczas podniesienia... Więc i teraz — na uroczystości — nawet na jedno kolano, ale nie klęczę. Dużo czytałem, chyba za dużo.

Poznań jest miastem sławnych chórów. O tym wiadomo na całym świecie. A w geografii literackiej naszej pierwszą trójką niech będzie: Iłkowiecówna, Kogut, Pauksta. Znacząca jest działalność Wydawnictwa Poznańskiego i brak tygodnika literackiego. To znaczy wiele. Pragniecie, aby ożywił kontakty międzyrodzinkowe w życiu literackim. Poszczególne oddziały ZLP organizują festiwale, wiosny i jesienie poetyckie, własne „dekady”, dyskusje bywają anemiczne, indywidualności żyją w samotności. Dużą stratę spowodowała rezygnacja ze zjazdów pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych, powstała pustka w geografii tych środowisk, kurczą się i personalne „dania” spożywają. Czy pisanie donosów, to też literatura? Warszawska „Kultura” bywa pomocna w sprawowaniu „regionalizmu” — na dno. Co można ewentualnie zaproponować? Wspólną kolację, bal sylwestrowy, wycieczkę do Kamerunu (nowoczesnym statkiem, nie okrętami wojennymi).

Zapraszam uprzejmie na Sprawozdawczo-Wyborczy Zjazd ZLP — do Poznania, to miasto tar-

gów, są wygodne hotele i balet Conrada Drzewieckiego. Był u nas niedawno międzynarodowy zjazd pisarzy — fantastów, Stanisław Lem nie mógł przyjechać. Zaczynają mi chodzić po głowie „fantastyczne” pomysły na temat przyszłości życia literackiego. Groźne?

JĘZYK JEST TYLKO NARZĘDZIEM

Ryszard Liskowacki



1. Mody literackie trwają zazwyczaj bardzo krótko. Czas jest dla wielu książek mniej litościwy niż krytycy. Jeśli książka żyje w świadomości czytelników chociaż kilka lat, autor może już mówić o sukcesie, o spełnieniu, o sukcesie, o spełnieniu, o sukcesie, o spełnieniu. Tylko dziełom nielicznym udaje się przebrnąć przez zmieniające się style, prądy i kierunki i wtedy można powiedzieć, że są to

dzieła, których się żadne kule nie imają. Napisać taką książkę to znaczy nie umrzeć, to znaczy przedłużyć swoje życie, przekazać następnym pokoleniom mądrość i gorzyc własnych doświadczeń. Oceniając pod tym kątem literackie zjawiska naszego trzydziestolecia, zjawiska, które miały bardzo określony wpływ na rozwój polskiej kultury, mam trudności wyboru. Ale jest to trudność pozytywna, bo wynika ona z autentycznego bogactwa naszej literatury. Nie jestem krytykiem, wymienię więc książki, które w moim prywatnym odczuciu stały się zjawiskiem wyjątkowej rangi. Można o nich pisać tak czy siak, można się do nich różnie przymierzać, ale już ich nie zdoła wykreślić z naszej współczesności, z naszej świadomości czytelniczej ani wydawca, ani krytyk, ani historyk literatury, ani nawet duch święty. (O świeckich duchach pomówimy przy innej okazji). Myślę tu między innymi o książkach Jerzego Andrzejewskiego („Popiół i diament”, „Ciemności kryją ziemię”), Romana Bratnego („Kolumbowie rocznik 20”), Jarosława Iwaszkiewicza („Sława i chwala”), Pawła Jasienicy („Dwie drogi”), „Polska Piastów”, „Polska Jagiellonów”), Tadeusza Konwickiego („Sennik współczesny”, „Dziura w niebie”), Bohdana Czeszki („Pokolenie”, „Tren”), Andrzeja Kuśniewicza („Strefy”), Wojciecha Zukrowskiego („Skapani w ogniu”, „Kamienne tablice”), Tadeusza Hołuję („Koniec naszego świata”), Zbigniewa Zatuskiego („Przepustka do historii”), o twórczości Melchiora Wańkowicza, o utworach scenicznych Sławomira Mrożka i Jerzego Brodzkiego, o wierszach Przybosa, Jastruna, Herberta, Szymborskiej, Grochowiaka, Brylla... Dając przykłady książek szczególnie przeze mnie cenionych, chcę po prostu stwierdzić, że wybór jest trudny, bo literatura polska w ostatnim trzydziestoleciu osiągnęła wybitne sukcesy, stała się literaturą o znaczeniu europejskim.

2. Jeśli mógłbym zmienić sformułowanie „najnowsza literatura polska” na „najmłodsza literatura polska”, to musiałbym wyrazić pewien niepokój, może zresztą przedwczesny. Wydaje mi się, że niektórzy młodzi twórcy, którzy wchodzą aktywnym życiem w następną naszą trzydziestolecie, a więc literacy „następcy tronów”, tak mocno rozkochali się w słowie, że jest to czasami miłość dla samej miłości, tak rozdyktowali się o funkcji języka, że czasami zapominają o funkcji literatury. Jeśli więc czytam słowa młodego krytyka: „zdecydowana większość realizacji prozy powojennej to twory przestarzałe, marne już niejako w chwili powstania” — nie oburza mnie typowa dla młodzieńczego buntu skrajna przekora, zastanawia mnie tylko to, iż młody autor owej „anachroniczności”, „bylejakości” prozy powojennej dopatruje się wyłącznie w sferze języka, w sferze słowa. Można i należy dyskusyjnie o stylach i formach, nawoływać do „rewolucyjnych” zmian w języku prozy, ale należy chyba cały czas pamiętać, że słowo jest dopiero kluczem do literatury i że najdoskonalszy klucz mało znaczy, jeśli otwiera drzwi do pokoju, w którym jest pusto, w którym nikt nie mieszka. Wylażyliśmy się już chyba z jednej choroby, w której preferowało się tzw. „ważne tematy” odpuszczając łatwo i chętnie grzechy za wszelkie artystyczne niedoskonałości. Nie wpadajmy zbyt łatwo w drugą skrajność, zachłystując się ponad wszelką miarę nowymi rozwiązaniami strukturalnymi, a zapominając, że słowo istnieje po to, aby nim ludzkie sprawy, ludzkie nadzieje i konflikty wyrażać.

3. Dobrze, że skończyły się czasy, w których przy ocenie zjawisk literackich posługiwano się swoistą „geografią”. Ta „geografia” upoważniała do jakiejś tam taryfy ulgowej, którą objęci byli pisarze żyjący na tzw. ziemiach zachodnich i północnych. Mieliliśmy nawet specjalne zjazdy pisarzy rdańskich, szczecińskich, olsztynskich, koszalińskich, wrocławskich, jakby w literaturze istotne było to, gdzie mieszka i pracuje. Nie

TRZYDZIESTOLECIU

możemy więc już dzisiaj (i nie chcemy) liczyć na żadne taryfy ulgowe, ale nie zmienia to faktu, iż w Szczecinie, Koszalinie, Zielonej Górze, Opolu życie literackie nie nadąża za ekonomicznym rozwojem tych miast. Można szukać wielu przyczyn takiego stanu rzeczy, ja wspomnę tu o jednej: w miastach, o których powyżej mowa, niezwykle ubogie są środowiska humanistyczne. Brak wyższych uczelni humanistycznych z prawdziwego zdarzenia hamuje rozwój środowisk literackich. Naszym książkom, naszej twórczej pracy nie towarzyszy czujne oko krytyka, teoretyka literatury. Krytyków własnych na palcach jednej ręki można policzyć, a o baczniejszej uwadze krytyków warszawskich można tylko marzyć. Mogłbym wymienić tuzin książek z ostatnich dwóch lat, które nie zostały w czasopiśmie centralnych w ogóle odnotowane. Jeśli brak systematycznej, wnikliwej, fachowej oceny, tworzą się łatwo różne prowincjonalne mity wielkości, albo przesadne kompleksy niższości.

4. Kontakty międzyśrodowiskowe nie ożywiają życia literackiego, mogą w najlepszym wypadku ożywić życie towarzyskie literatów. Nie proponowałbym więc większej ilości „zjazdów”, „sympozjów”, „dni poezji”. Byłbym raczej skłonny zaproponować, aby centralne pisma literackie dostrzegły wreszcie, że polska kultura i literatura nie zaczyna się i nie kończy w Warszawie i Krakowie. Albo inaczej: że zaczyna się w Warszawie i Krakowie, ale istnieje także w kilku innych miastach Polski. Nie tylko o recenzje, o odnotowywanie zjawisk literackich mi chodzi, ale o szerokie spojrzenie, o wnikliwą analizę, o ostrą polemikę dotyczącą istotnych problemów kultury powstających między Bugiem a Odrą.

4) Kontakty międzyśrodowiskowe. Ostatnie nasze zjazdy i konferencje, inaugurowane odpowiednimi referatami nie aktywizowały środowisk, nie pobudzały do dyskusji. Również festiwale poetyckie czy teatralne słabe miały reperkusje. Schorzeniem naszego życia literackiego jest coraz wyraźniejszy profesjonalizm. Lekceważenie innych sztuk, stronięcie od innych środowisk twórczych. Zamiast więc konwentyków typowych z krytyczno-literackim wstępem i schematycznym podsumowaniem — czyż nie lepiej byłoby organizować spotkania z muzykami, z plastykami, z historykami kultury? Dla wymiany poglądów — nie referatów. Wymiana poglądów po koncertach na tle wystaw plastycznych. Kultura artystyczna, kultura ogólna współczesnego pisarza budzi coraz częściej przerażenie zamiast podziwu.

najbliższe, którym wzbogacają polską literaturę współczesną, dodając do tego swoje własne doświadczenie nie tylko obserwatorów ale i uczestników wspomnianych już procesów społecznych.

W tych moich — pozornie nie na temat — reminiscencjach tkwi próba odpowiedzi na generalne pytanie, jakie można wydedukować z intencji zaproszenia redakcji „Kamena”, a dotyczy ono nowych wartości wniesionych przez trzydziestolecie do polskiej kultury. Rysując wizerunek naszej współczesności posłużyłem się przykładem własnego regionu, przykładem istotnym i ważnym dla naszej historii, również literackiej.

ZIEMIA I PISARZE

Leonard Turkowski



Pisząc z Olsztyna o literaturze trzydziestolecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, pragnę skorzystać przede wszystkim z okazji wyrażenia opinii na temat pewnych zmian, zaszytych w geografii zjawisk literackich (Wasze pytanie 3).

W roku 1945 powróciły do Polski ziemie, które przez wieki pozostawały pod obcym panowaniem. Twórczość literacka, powstająca na nich od tego czasu, wywarła niemały wpływ na obraz współczesnej literatury polskiej. Szczególnie na niektórych z tych ziem, na przykład na Opolszczyźnie oraz Warmii i Mazurach, doszli do głosu pisarze, których twórczość nie mogła rozwinąć się w pełni w warunkach narodowego ucisku, choć i wtedy spełniała ogromną rolę polityczną. W klimacie tej twórczości, wyrosłej z niewoli a dojrzewającej w słońcu wolności, rosła także nowa literatura, tworzona przez ludzi przybyłych po wojnie na wspomniane ziemie.

O tym, jaki jest dorobek literacki choćby regionu olsztyńskiego — niech zaświadczą tegoroczne nagrody. Oto Karol Mallek, znany swego czasu przez hitlerowców Królem Mazurów, otrzymuje za swe pamiętniki nagrodę „Polityki”. Marii Ziembarskiej-Malewskiej jury IX Łódzkiej Wiosny Poetyckiej przyznaje nagrodę za „Pieśni Warmianki” jako za najlepszy tom wierszy patriotycznych w 30-lecie. Osiedlonego przed wielu laty w Olsztyńskim prozaika Henryka Panasa honoruje swą nagrodą „Kultura” za jego ostatnią powieść. Wspomnijmy jeszcze, że inni pisarze olsztyńscy otrzymali i w tym roku — podobnie jak w poprzednich latach — nagrody i wyróżnienia na ogólnopolskich konkursach literackich.

Obraz polskiej literatury współczesnej byłby uboższy bez tego, co powstało w 30-leciu na Warmii i Mazurach. Na polski Parnas weszły nowe pióra i nowe treści. Zarówno urodzeni tutaj w czarach niewoli (prócz Ziembarskiej i Malika np. Jan Boenigk, Michał Lengowski, Emilia Biedrawina), jak przybyli po wyzwoleniu (prócz Panasa np. Edward Martuszewski, Klemens Oleksik, Władysław Ogródziński) i wreszcie urodzeni tu lub choćby wychowani w okresie Polski Ludowej (np. Erwin Kruk, Stefan Polom, Jerzy Sokolowski) — wszyscy zauroczeni są Krajiną Jezior. Uroda jej krajobrazu i uroda dzieł uwrażliwia nie tylko „tutejszych”. Cóż dziwnego, że skłania ich ona do pisania o sobie, jeżeli skłaniała bywających tu przelotnie: Cyprińskiego, Putramenta, Newerlego i tylu innych.

Razem z ziemią i jej problemami wchodzi do literatury polskiej sprawa o znaczeniu ogólnoludzkim: bohaterstwo, patriotyzm, entuzjizm pracy pokojowej, zadumanie nad ludzkim losem — pokazane na przykładach nowo powstającego, integrującego się społeczeństwa.

Prawda, pisarze olsztyńscy nie tkwią w monotemacie, czego przykładem choćby Panasa apokryf „Według Judasza” i wiele innych książek. Kto wie jednak, czy i ich natchnieniem nie był genius loci? Jedno jest pewne: że niektórych naszych kolegów on właśnie uczynił pisarzami. Tak jak rodzili pisarzy wojna i martyrologia — tak rodziła ich ta przepiękna ziemia o tragicznych, lecz wspaniałych dziejach i o jasnych perspektywach przyszłości.

A zapewne warto wspomnieć przy okazji jeszcze jedno. Otóż olsztyńskie wydawnictwo „Pojezierze” pod kierownictwem naszego kolegi Andrzeja Warkara wydaje nie tylko książki olsztyńskich pisarzy, tak jak zresztą oni wydają nie tylko w Olsztynie. W ostatnich tylko miesiącach ukazały się tutaj utwory Anny Kamieńskiej, Aleksandra Bymkiewicza, Tadeusza Chrościelewskiego i innych. Siega się i do dawnych tradycji. Obok pieśni Fantyszka wydało „Pojezierze” dzieła Wojciecha Kętrzyńskiego. To tylko przykłady, świadczące o kulturotwórczej roli Warmii i Mazur.

A książki pisarzy z całej Polski, wychodzące w Olsztynie — to także częstokroć odpowiedź na Wasze pytanie 4, dotyczące kontaktów międzyśrodowiskowych. Lecz to już temat oddzielny, szeroki.

ORGANICZNY ROZWÓJ ŚRODOWISKA

Bolesław Soliński



Postawione przez Was pytania chciałbym, jeśli pozwolicie, sprowadzić do nieco skromniejszej skali, do skali regionu, jaki reprezentuję i jego literackiego współdziałania w naszym ogólnonarodowym trzydziestoleciu, do którego, jak sądzę, również lubuscy pisarze dołączyli swój głos.

Przestano już o nas mówić, że jesteśmy środowiskiem młodym

i to nie tylko ze względu na wiek. Nie wiem czy powinno to martwić czy cieszyć, faktem jest jednak że oddział ZLP w Zielonej Górze istnieje już kilkanaście lat i że książki zielonogórskich pisarzy przez cały ten czas wzbogacają polską literaturę współczesną, a ich nazwiska nie są obce czytelnikowi, obojętnie z jakiej części Polski pochodzi. Stał się się po pierwszym okresie niewątpliwie fascynacji aktywizacyjnym sukcesem, jednym z wielu środowisk w kraju, z problemami takimi samymi jak wszędzie, integralną częścią polskiej społeczności literackiej. Przestano już kojarzyć autora utworu z miejscem jego zamieszkania i traktować fakt ten jako jedno z kryteriów oceny.

I tu dochodzę do sprawy, jaka wydaje mi się w ogóle dla Polski zachodniej najważniejszą w nadchodzącym dla niej dopiero pełnym trzydziestoleciu, a o której należy koniecznie przypomnieć. Mam na myśli szeroko pojętą, nie tylko wewnątrzregionalnie, integrację społeczną, owe procesy dla innych części kraju zupełnie nieznanne, owo zmuszne tworzenie z ludnościowej mozaiki jednolitego monolitu. Problem ten od pewnego czasu zniknął szczęśliwie nie tylko jako termin z naszego słownictwa, ale i jako teza w rozumowaniu, przy próbach bilansu powraca jednak i wysuwa się na plan pierwszy. Zakończenie procesów integracyjnych to chyba największe osiągnięcie współczesnej, ludowej historii ziem nad Odrą. To również temat, jaki czeka nadal na literacki zapis. Jak do tej pory dominuje on raczej tylko w pamiętnikach żyjących jeszcze bohaterów, owej forpoczty literatury, gromadząc w ten sposób potrzebny materiał. W tym względzie kronika czasu jest jeszcze ciągle zapisywana.

To jeśli chodzi o sprawy społeczne, których związek z literaturą i skutki dla literatury nie są bagatelne. W kulturze natomiast, niejako współdziałającą z tymi procesami pochodną, największym osiągnięciem trzydziestolecia wydaje mi się fakt powstania autentycznych środowisk twórczych, co, biorąc pod uwagę historyczną przeszłość tych terenów, posiada jeszcze dodatkową wymowę. W tym przypadku Zielona Góra może być tego najlepszą ilustracją i to właśnie w odniesieniu do środowiska literackiego. Warto tu jeszcze raz przypomnieć, że powstało ono bez jakiegokolwiek literackiego „importu”, drogą normalnej ewolucji, z ludzi, którzy z tym terenem związali swe życie i tutaj zdobywali literackie szlify. Przypadek wart dociekań socjologa.

Literacka Zielona Góra dała znać o sobie na początku lat sześćdziesiątych, będąc może pewnego rodzaju zaskoczeniem bardziej kulturalnym niż literackim. Następne lata przesuwają jednak akcenty w tym określeniu. Literacka twórczość środowiska staje się kolejnym przykładem na jeszcze szerszej pojętej integrację, bo w dziedzinie literatury. Straciło rację bytu określanie pisarza według miejsca zamieszkania, które daje znać o sobie tylko jeszcze wprowadzaniem do literatury tematu swego najbliższego otoczenia. I pod tym więc względem sprawdziło się również w literackiej praktyce jakże słuszne hasło, jawiące się nam wszystkim teraz z całą wyrazistością, że Polska jest jedna.

Co przeważa w twórczości pisarzy mieszkających na Ziemi Lubuskiej? Jeśli chodzi o gatunki, to reprezentują oni wszystkie — od poezji, nowelistyki, powieści, dramatu po krytykę. Wspominał o tym jedynie dlatego, że literackim początkom wyznaczała kierunek przede wszystkim poezja. A co w dziedzinie tematu? Chyba jednak to właśnie miejsce

LITERATURA AWANSUJE U CZYTELNIKÓW

Stefan Otwinowski



Odpowiadam na pytania Waszej ankiety, wygodniej mi jednak będzie pytanie pierwsze połączyć z pytaniem trzecim.

1 i 3) Zaczniemy od sprawy najogólniejszej — od czytelnictwa. Jest historyczną zasługą naszego trzydziestolecia, że książka dostała się wreszcie tam, gdzie szacunek dla niej był największy. W dziele upowszechnienia kultury czytelnictwa Kraków

ocegnął rolę specjalną. Mając liczne okazje i obowiązki nawiązywania kontaktów z bibliotekarzami, mogłem się nieraz przekonać, jak popularne było w całej południowej Polsce nazwisko autora „Orki na utorze”. Tak, Jan Wiktor, Stanisław Pi-goń, Adam Polewka — oto nazwiska, które mocno zapisały się w pamięci wszystkich szeregowych orędowników książki.

Warstwy społeczne, pokolenia, awans swój opierały — i jeszcze opierają — o coraz szerszą i głębszą wiedzę historyczną. Warstwy awansujące, nowe pokolenia, godność swą umacniają, zyskując na poczuciu pełnej narodowej solidarności. Wzrasta z roku na rok zainteresowanie naprawdę powszechne tematem państwowej przeszłości. Temat ten najczęściej pozostaje w związku z dawną stolicą Polski. Nic więc dziwnego, że krakowskie środowisko literackie proces ten dostrzega ze szczególną wrażliwością. Powstają tutaj dzieła kontynuujące — jak choćby w przypadku Karola Bunscha — gatunek tradycyjnej powieści historycznej, ze „wzgórzem wawelskim” jako symbolem i przedmiotem opisu; wykształciły się tutaj style obrazowania i głosowania zupełnie do sienkiewiczowskiego wzoru nie podobne, że przytoczę nazwisko Tadeusza Hołujy, a przytoczyć do dowód tej inności mógłbym nazwisk wiele.

2) Często słyszy się komplementy pod adresem krakowskiej szkoły krytyków. Rzeczywiście najpraktyczniej praktykujący krytycy literatury naszego XXX-lecia, to uczniowie Pignonia albo Wyki. Również sam Kazimierz Wyka po dziś dzień zabiera głos na temat poezji współczesnej, jego zaś „Pogranicze powieści”, właśnie po raz trzeci wznowione, stanowi najciekawszy, najistotniejszy „podręcznik” wiedzy o ważnych latach wojennych i ich literackim obrazie. Książki, które czerpały z doświadczeń „wszystkich lat okupacji”, z „czasu nieludzkiego” ciągle stanowią główny kapitał naszego społecznego i moralnego rozrachunku.

W okresie bieżącym na czoło naszej literatury wybił się nurt powieści genealogicznej — ze źródeł wiejskich, chłopskich. Najwybitniejszymi przedstawicielami tego nurtu są — niespójni z sobą — Julian Kawalec i Tadeusz Nowak. Oba mieszkają w Krakowie (Kawalec zresztą często z Krakowa ucieka do Rabki). W jakim stopniu to ich nowe miejsce zamieszkania rzutuje na twórczą psychologię? Odpowiedź na to pytanie rozwinąć by można tylko w dużej, zasadniczej rozprawie.

„Zostanę w wierszach, listach i pamięci...”

Tadeusz Klak

O PÓZNEJ wieczornej godzinie na początku września ub. r. włączyłem radio na ostatnie wiadomości. Wtedy właśnie spiker przeczytał wiadomość o śmierci Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Nie będę starał się o odtwarzanie doznań tamtej chwili, nie bardzo byłoby to możliwe. Może się tylko wydać dziwne, ale wśród tych doznań nie było jednego: zaskoczenia. Dlaczego?

Na początku ub. r. pojawił się na tym miejscu cykl utworów Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, którym dano tytuł *Z nowych wierszy*. Było w ich tonie coś takiego, co uważnemu czytelnikowi musiało się zastanowić, wsłuchać dokładniej, wyczuć ich prawdziwą melodię. Uderzał w tych wierszach nawrót do dawnych motywów, można było sądzić, iż dokonywał w nich poeta obrachunku ze swoją przeszłością, czynił bilans swojego życia. Najbardziej zastanawiało w owych wierszach co innego; uderzała obecność nowego motywu, nie spotykanego dotąd u poety w takim kształcie. W jednym z utworów polemizował Jaworski z własnym wierszem sprzed lat, wyrażał przekonanie, że już „nie przywrze stopami do tatrzańskich skał”. Dalej zaś pisał:

Bowiem wszyscy zmierzamy do jednego końca,
skażający już od chwili swego urodzenia,
bez żadnej apelacji i bez prawa łaski.

Garniemy się do ludzi, do bliskich, do słońca,
odrzucamy wciąż myśli o krainie cienia
chcąc wierzyć, że nie zgasną nam słoneczne blaski.

Myśl o śmierci przewijała się także w pozostałych utworach, choć przesłaniała ją lub usuwała na dalszy plan intensywne przeżywanie przyrody i uroków świata. Nie był to umiłowany przez KAJ-a krajobraz gór, lecz zielony pejzaż Naleczowa, do którego poeta przekonywał się z oporami; polubił go przecież w końcu.

Wiersze Jaworskiego, o których powyżej mówiłem, odczytywałem z przejęciem i jednoznacznie: były to słowa pożegnania ze światem, musiały się zrodzić z prze-

czucia niedalekiego odejścia. Ale te myśli, wywołane przez wiersze, usunęły się potem w cień, zostały przytłumione. Przychodziły przecież z ulicy Bronowickiej listy, docierały różnymi drogami wiadomości o zdrowiu KAJ-a. Ich optymizm był — okazało się — złudny. Niepokojąca dla mnie była spora przerwa w dopływie wiadomości od niego, trwała ona około kilku tygodni.

Ze śmiercią KAJ-a długo nie mogłem się oswoić, nie potrafiłem przyjąć jej do wiadomości. Sprzyjało temu moje oddalenie od Lublina, od dwu lat przeszło pracowałem już na Śląsku, w Katowicach. Można sparafrazować słuszne powiedzenie francuskiego poety: wyjechać, to trochę tak jak umrzeć. Oddaleniemu — wydawało mi się długo, że KAJ jest w bronowickim mieszkaniu ciągle obecny wśród książek, przy biurku pełnym czasopism, korespondencji i rękopisów.

Jaworski — autor tomu *Czerwonej i białej kochance* — długo oswajał się ze śmiercią, lecz bezskutecznie. W wierszach wczesnych stanowiła ona częsty motyw, to ona właśnie była ową „białą kochanką”. W jednym z obozowych wierszy poeta wprowadził znamienne poprawki: dawne wiersze o śmierci świadczyły raczej o pozie niż o przeżyciu problemu. Pisał o niej, gdy znajdowała się daleko, kiedy była jeszcze nierealna. W obozie obecność jej stała się odczuwalną, ale znikła dawna z nią poufalskość. W jednej ze swoich wspomnieniowych książek wyznawał Jaworski, iż najtragiczniejszą stroną problemu śmierci był dla niego proces rozkładu ciała. Nie mógł się z tym nigdy pogodzić.

Pierwszy zawał serca tę wrażliwość Jaworskiego jeszcze podsycał. Pamiętam następującą scenę: kiedy KAJ przebywał na rekonesansie w naleczowskim sanatorium, odwiedził go chełmscy wychowankowie i jednocześnie młodzi koledzy po piórze: Witold Kasperski, Zdzisław Popowski, Czesław Twardzik, był też chyba obecny wtedy na kuracji w Naleczowie Waław Mrozowski. Siedzieliśmy długo w altanie kawiarni „Niezapominajka” w pobliżu parku, uwięzła nas przechodząca

burza i ulewa, a na zakończenie ktoś z nas zaproponował, by za rok znowu spotkać się w tym samym miejscu. Jaworski oburzył się, długo i skutecznie wzbraniał się przed ustaleniem jakiegokolwiek terminu: dajcie spokój, kto wie, co za rok będzie. Może było to przewrażliwienie wywołane niedawnym zawałem serca, może oddziaływały nastrój burzy. Od tamtego spotkania upłynęło KAJ-owi jeszcze kilka owocnych i pracowitych lat.

Wspomniałem, że spotkanie to było w kawiarni. Powinienem zrobić poprawkę: przy kawiarni. Do kawiarni nie dał się KAJ wciągnąć nigdy i nikomu. Nie odwiedzał takich miejsc w Lublinie, w Naleczowie zaś, w czasie tylu spotkań przez lata, ani razu nie dał się namówić na pogawędkę w palacowej kawiarni. Kawy zresztą nie uznawał, jej miejsce zajmowała dobra i mocna herbata.

Od siedzenia w kawiarni wolał spacer i to długi, coraz to nowymi prowadzący drogami. Od domu a raczej willi, w której wynajmował stale letnie mieszkanie, nazwane dumnie „Orle Gniazdo”, prowadził w różne strony trasy codziennych wędrowek. Kiedyś — przy nie najlepszej pogodzie mieliśmy udać się dorozką do Wąwozu Łukoszyńskiego, najpiękniejszego z okolicznych wąwozów, ale pogoda zrobiła się tak piękna, że Jaworski poszedł sam na długi samotny spacer w stronę Wojciechowa. Do Wąwozu Łukoszyńskiego poszliśmy innym razem, pewnego wrześniowego a może już październikowego dnia. Prowadziłem KAJ-a przez najpiękniejsze miejsca wąwozu, które jesienią nabierały wyjątkowego blasku i piękna, pokonywałyśmy strome wzniesienia; myślę, że przypominały mu się wtedy góry, chociaż o tym wówczas nie mówił. Krajobraz pozostał bowiem tylko tłem wędrowki i rozmów, a dotyczyły one na ogół literatury, poezji, bieżących spraw literackich, tego, co było na warsztacie twórczym KAJ-a, mówiliśmy oczywiście i o moich zajęciach, jako że często odwolywałem się do jego pamięci i rady. Czasem zachodził do mnie do Muzeum Prusa w Pałacu Małachowskich i wtedy „ucinaliśmy” sobie okolicznościowe pogawędki.

To były jednak sprawy późniejszego czasu. Po śmierci KAJ-a nieraz wracałem pamięcią do naszej znajomości, prawie dwudziestoletniej, która później — mogła chyba tak powiedzieć — przybrała kształt przyjaźni. Kiedy się nasza znajomość zaczęła? Na pewno pierwsze spotkania miały miejsce już około 1954 roku, kiedy zachodziłem na zebrania Koła Młodych, które odbywały się w siedzibie Związku Literatów Polskich, a była ona jednocześnie siedzibą wznowionej nie tak dawno „Kameny”. Były to jednak kontakty przygodkowe i oficjalne, podobnie jak spotkania w naszym Kole Polonistów, z którego została mi dedykacja na ofiarowanym zeżycie powojennej „Kameny” z datą 2.V.55. To ostatnie zetknięcie było o tyle ważne, że otworzyło drogę następnym. Świadectwem niezawodnym jest zbiór poetycki Jaworskiego *Na granitowym maszcie* z dedykacją i datą 24.VI.55. Otrzymałem go chyba podczas wizyty u Jaworskiego, którą pamiętam doskonale. Udał się do niego wraz z Andrzejem Szmidttem, przynosząc swoje wiersze do lokalu Estrady przy Placu Litewskim, gdzie KAJ wtedy pracował. Przyjął nas życzliwie, z uwagą wczytywał się w nasze młodzieńcze wiersze, wskazywał na miejsca lepsze i gorsze, z czego my nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę. W podejściu Jaworskiego znać było doświadczenie nie tylko poety i redaktora, lecz także pedagoga i wychowawcy. Iluż początkujących pisarzy korzystało z jego rad i pomocy, ilu poetom on właśnie umożliwił debiut w „Kamenie”. Nie tylko pokoje redakcyjne stały bowiem otworem dla interesantów, których nigdy nie brakowało. Przychodzili — jak o tym już napomknęłam — młodzi ze swoimi sprawami, kłopotami i zwitkami rękopisów.

Chcę szczególnie mocno podkreślić tę pedagogiczną stronę działalności Jaworskiego, ponieważ nie była ona za jego życia dostrzegana i doceniana. A przejawiała się w tym jedna z istotnych cech KAJ-a: bezinteresowność. Jak mało który z pisarzy pozostawał on w cieniu, nie wynosił własnych zasług, nie ogniskował zainteresowania wokół swojej osoby. Przypominam sobie, jak bardzo sprzeciwił się edycji zbiorowej swoich pism, ił wysuwał przeciw temu projektowi zastrzeżeń. KAJ służył bowiem stale innym; czyż założenie i redagowanie własnym kosztem pisma poświęconego poezji nie było przede wszystkim służbą pisarzem i literaturze, jak była nią nieustanna praca translatorska? Te zajęcia (po odejściu od pracy szkolnej, gdyż — jak wiadomo — przez wiele lat był nauczycielem w Seminarium Nauczycielskim) wypełniały Jaworskiemu większość czasu. Owocem

TROSKA

Cóż zostawię ci, chłopcze, gdy legnę już w grobie?
Te książki opuszczone na samotnej półce?
Te wiersze niepotrzebne, myśli moich obieg,
wywar modłów żarliwych w nietrwalej ampulce?

To mało, nazbyt mało. Ale nie mam miecza,
I jakż cię opaszę, młody giemku, wstęga?
Wiedz jedno: serce sercu nigdy nie zaprzecza
i taką się przed ciosem osłaniaj potęga.

(Z cyklu „Wiersze dla syna”)

* * *

Jak rybak w mrok zanurzam swych wierszy wężerze,
chcąc jasnością nakarmić serce, co się żali.
Nie jestem z tych, co biernie kładą się na fali,
nie wabi mnie wygodne i zaciszne leże.

W słońca skwarnego blaski i w gwiazd migot wierzę,
zachwyca mnie to wszystko, co się ogniem pali.
Serce świata w mych piersiach twardym młotem wali,
pragnę przebiec najszybciej wszystkie ziemie ścież.

Drapieżnie pręzę woli mej ostre pazury,
by wgrzyźć się w miąższ owocu, co zwie się przygodą.
Aby słońce zabłysło, trzeba zerwać chmury,

trzeba kochać, jak uczy do młodości oda,
niezłomnie stać, jak stoją Tatr warowne mury,
dopóki z nóg nie zwali ciężka śmierci kłoda.

SZKOŁA

Nauczyl mnie mnóstwa mądrości:
rolowania, żabek i przysiadów,
siedem razy tygodniowo paćciu
i pracować bez ładu i składu.

Godzinami umiem stać i czekać,
na apelu zaśpiewać przykładnie,
przed mundurem każdym już z daleka
zdjąć czapkę uprzejmie i ładnie.

Spać potrafię w dwunastu pokotem,
gdy na ścianach lśni ładu kryształ,
pokumalem się z deszczem i błotem
i przeszedłem przez różne opaly.

Kunst posiadłem wysłuchania obelg
obojetnie, bez zwilżenia powiek,
zaciskania gorzkich ust na skobel,
gdy się pieni rozbawiony człowiek.

Wiem, że można żyć nawet bez książek
bez ołówka i kartki papieru,
w sobie samym się tylko pograżać,
w sobie samym szukać myślom steru.

Nie oglądać ukochanych twarzy
przez dni długie, miesiące i lata,
śmierć powszednią sobie lekceważyć
widząc dym, co z krematoriów wlatę.

Tak, wyniosę stąd wiele korzyści,
trzeba w sercu je trwale zachować:
nauczyl mnie tu nienawości,
a umiałem jedynie miłować.

GAZEL XIX

Liść za liściem się odrywa, ale jeszcze nie ostatni.
Dzień za dniem w otchłanie spływa, ale jeszcze nie ostatni.
Jednak śledzę z niepokojem, jak wskazówka się porusza,
jak się śniegiem włos pokrywa, ale jeszcze nie ostatni.
Jeszcze słońce mnie na niebie i twej twarzy słońce wzrusza,
jeszcze wiersz dłoń pisze żywa, wiersz, lecz jeszcze nie ostatni.

IN MEMORIAM

I
Od tygodnia umilkły ostatnie granaty
i luno zaprzestaly już urgać oku.
Eksplodowała tylko wiosna, bzuwe kwiaty
w przymacie przelamując się magicznym: Pokój!

Łopotaly sztandary szeroko na wietrze,
ludzie znowu brodzili w słońcu po kolana
i znow zachlystywali się wonnym powietrzem,
i serca im jak dobosz bębniły: Wygrana!

II
I wtedy właśnie komuś zamierało tętno,
i z trudem podnosiła się piersiowa klatka...
W majowy dzień zwycięski z twarzą beznamiętną
odchodziła ode mnie już na zawsze matka.

III
Maj bżów, słowików, słońca orgii,
maj charagwany mas protestu,
Axela maj i Ingeborgi,
i niepowrotnych lat dwudziestu.

Maj, co świat cały przeinaczył,
co wroga zgniół i upokorzył...
... a dla mnie czarny maj rozpaczy
i dolu, gdzie swo serce złożył.

IV
Za Twoje włosy ubielone,
za Twoje plecy przygarbione,
za Twe wychudłe, drzące ręce,
za oczy wyplakane w męce,
za biedne Twoje chore serce,
za te miesiące w poniewierce,
za samotności Twej cykute,
za modlitw długo w noc pakute,
za łzami pokrapiane listy,
za ten niepokój wiekuiści,
za nieprzyjaciół gorzkie drwiny,
za wszystką rozpacz Twą z ich winy,
za myśli zawsze o mnie pierwsze —
placę Ci, Mamo, nędznym wierszem.

Ich były niezliczone przekłady, przede wszystkim z literatur słowiańskich, drukowane w licznych czasopiśmie, zwłaszcza zaś na łamach „Kamenu”. Wypełniły one kilka tomów pism Jaworskiego, stanowiąc trwałe dorobek polskiej kultury. „Polski” Tłuczew, „polski” Blok i „polski” Jesienin, to przede wszystkim zasługa KAJ-a. Nie ograniczał się on do samych przekładów; popularyzował także literaturę słowiańską w licznych szkicach, a przede wszystkim w notach oraz stałych informacjach, umieszczanych w przed- i powojennej „Kamenu”. Tłumaczenia swoje włączał Jaworski stałe do programu spotkań autorskich. Przekładanie poezji stawał na równi z własną twórczością oryginalną. Znamienny wyraz dał Jaworski temu stanowisku na wieczorze z okazji 50-lecia twórczości (KAJ oczywiście uznał go za normalne spotkanie z okazji majowych Dni Oświaty...), który odbył się w siedzibie Muzeum Józefa Czechowicza. Na zakończenie wieczoru odczytał dwa wiersze: własny pt. *Wtedy i List do matki Jesienina* w swoim przekładzie. Zresztą te dwa utwory mają wspólną nutę.

W pracy swej był niezmiernie dokładny, chciał jak najwięcej dokonać, jak najwięcej przekazać. Zdumiał mnie kiedyś fragment listu KAJ-a do Czechowicza, w którym pisał on o programie urzędowego w Chełmie wieczoru literackiego. Przed miesiącem miałem w Chełmie wieczór „Od Lermontowa do Pasternaka” (odczyt i recytacje moich przekładów z Lermontowa, Balmonta, Briusowa, Bloka, Wołoszyna, Gumilowa, Sologuba, Achmatowej, Siewierianina, Majakowskiego, Szerszeniewicza, Kusikowa, Jesienina, Erenburga i Pasternaka). Niemal, jak na jeden raz.

Ta hojność wobec słuchaczy jego wieczorów autorskich trwała do ostatka, czego był świadkiem na kilku spotkaniach w Nałęczowie, odbywanych tak wśród kuracjuszy, jak i młodzieży szkolnej. Wobec tej ostatniej podkreślał zawsze i przypominał swoją nauczycielską przeszłość. Na jednym ze spotkań w szkole śpółdzielczej w Nałęczowie mnie przypadł zaszczyt powitania i przedstawienia młodzieży poety. Wymieniłem różne jego zasługi i dokonania, wyliczałem tytuły książek. Dopiero na samym końcu wspominałem, iż — co najważniejsze — przed audytorium stoi dawny nauczyciel. KAJ widocznie nie mógł doczekać się tego momentu, bo natychmiast po przejęciu głosu nawiązał do tej informacji. *Myslałem — powiedział — że pan zapomni o tym powiedzieć. Bo przecież ja jestem starym kolegą!*

Hojność ta objawiała się także w inny sposób, czego niejednemu raz doświadczyłem,

kiedy pracowałem nad spuścizną Czechowicza i gdy gromadziłem materiały do muzeum tego poety. Przypomnieć zresztą warto, iż to chyba KAJ pierwszy (jako X. Rovay) wysunął w „Kamenu” projekt powołania muzeum Czechowicza i naszkicował jego zawartość. Jaworski nieustannie wspomagał zbiorę przyszłego muzeum; ofiarował wszystkie listy Czechowicza do siebie, rękopisy jego wierszy i innych utworów, przekazał liczne wydawnictwa poetyckie i rzadkie czasopiśma z okresu międzywojennego. Wszystko, oczywiście, bezinteresownie. Pożyczał potrzebne książki, czasopiśma, pozwalał wglądać do swoich zasobów archiwalnych. Pragnął, aby to, co w swoim życiu zebrał i przechował, służyło innym, żeby przydawało się nauce i literaturze.

Nie da się w krótkim wspomnieniu objąć wszystkich stron działalności i pracy KAJ-a. Nie o to mi zresztą teraz chodziło. O jego książkach pisałem w „Kamenu” w odpowiednim czasie, o poezji Jaworskiego wydrukowałem przed trzema laty w tym samym miejscu obszerny szkic. O czasach chełmskich KAJ-a napisał jego wychowawca, przeważnie poeci, z którymi do końca utrzymywał tak bliską i serdeczną łączność. W tych zaś słowach chciałem napisać wyłącznie o KAJ-u widzianym od mojej strony, jakim go zapamiętałem i kim dla mnie był.

Ostatnie naleęczowskie spotkania miały miejsce latem 1970 roku. Nie był to chyba dobry czas KAJ-a; wydał mi się jakiś zamknięty, przejęty i uderzony śmiercią bliskich sobie ludzi. Spośród lubelskich pisarzy ubył niedawno Konrad Bielski. Nie wiedzieliśmy także wówczas, iż był to ostatni nasz wspólny sezon w Nałęczowie. Po moim wyjeździe kontakty osobiste stały się rzadkie, było ich zaledwie parę. Pozostało pisanie listów, także niezczęste. Namawiałem w nich KAJ-a na pisanie wspomnień o Nałęczowie, z myślą o pewnej książce. *O wspomnieniach naleęczowskich pomyśle, ale to nie pilnego — odpisał. Listy jednak nie wystarczały, bowiem — zdym zapowiadał kiedyś przyjazd z Katowic — KAJ pisał: Ciesz się, że Pan będzie w Lublinie i pogawędzimy dłużej. Bo jednak listy to nie żywe słowo.*

Przy pisaniu tych refleksji towarzyszy mi przekonanie, że nie da się na kilku kartkach naszkicować portretu KAJ-a. Mogłoby to spełnić chyba tylko książka i to zbiorowa, która przyniosłaby głosy przyjaciół i uczniów o nim jako poecie, tłumaczu, redaktorze i — co tu szczególnie ważne — o człowieku. Był we wszystkich dziedzinach swoich działań bezinteresowny i skromny, wytrwały i pracowity. Jako pisarz nie wychodził z manifestami, nie chciał wygłaszać żadnych programów,



leczył ustanawiał wymierne i sprawdzalne fakty. W poezji nie był nowatorem, ale „Kamena” stanowiła przed wojną jedną z trybun awangardy, nie wiązał się wtedy z żadnym obozem politycznym, choć w swoim piśmie stawał zawsze po lewej stronie barykady. Zanurzony był w życie całą swoją osobą, toteż z miłości do życia i świata wynikał jego stosunek do literatury. W liście do jednego z pisarzy z 7 I 1953 roku, nawiązując do swych obozowych przeżyć, wyznawał: *Poznawszy bestię tkwiącą w człowieku, po dawnemu dziecinnie wierzę w dobroć, obce mi są z zachwytem przyjmowane przez niektórych nastroje Faulknerów, Hemingway'ów i Caldwellów, bliski mi jest Steinbeck, a z Francuzów nie Sartre i consortes, ale wspaniali, zdrowy Saint-Exupery. I starzy klasycy, do których się wraca jak w domowe zacisze.* Słowa te wystarczą za

program i one najwierniej mówią o pisarskiej i ludzkiej postawie Kazimierza Andrzeja Jaworskiego.

Jakoś trudno mi się przyzwyczaić, że już nigdy nie ujrzę KAJ-a, w ostatnich latach już trochę pochylonego, niemal zawsze w swetrze, z nieodstępnym uśmiechem i życzliwością wobec ludzi. Pomyśleć: jak niespodziewanie a szybko odchodzili od nas kolejno, niemal rok po roku Bielski, Gralewski i Jaworski, uczestnicy i bohaterowie literackich legend o wymiarze nie tylko lubelskim, jak nie tylko lokalnymi zjawiskami były „Reflektor” i chełmska „Kamena”, czy poezja Józefa Czechowicza — najwcześniej odeszłego. Dla literackiego Lublina są to straty niewyrównane i niezastąpione. Odejście tych pisarzy zamknęło ostatecznie pewną epokę, do której nieraz będziemy wracać pamięcią.

WRZESIEŃ

Wiosenów jasnych jesień
łoneczny słodki plaster,
zapach konania w lesie,
hartwy na klombie aster.

Wiści rumieniec chory
przypomina suchoty.
Cóż, że z modrej amfory
leje się wino złote?

Wspomnienia żują drzewo —
czarozrojszy lata przepych.
Cóż, że dziś słońce śpiewa,
jutro będziemy ślepi.

Tylko serce poety
ciągnął jednakowo tętni:
bierzemy życie sekrety
w śmierci będziemy pić ni.

TEN KWIAT

Ten kwiat, co wsuniesz mi do ręki,
gdym będzie zimna już i sina,
dzis jeszcze może nie jest pękiem,
dzis jeszcze żyć nie rozpoczyna.

pszczoła ta, co jego życiu
da kiedyś w letni żar osnowę,
nie wyszła jeszcze z snu ukrycia,
czy brzęczać pieśni swe lipcowe.

może nawet jeszcze ul ten
nie świeci ściany niebieszczyzna
wierny swym odwiecznym kultom
nie nazwał owad go ojczyzną.

Nie jest ręka dziś szczęśliwa,
niebaczną, co ją czeka potem,
jeszcze gorąca, jeszcze żywa,
czujesz mocną jej piśczętą.

DRZEWOM SERDECZNYM

Gdzie się piętrzysz, smukła sosno,
gdzie się chwiejesz, dębie szumny?
Gdzie te drzewa biedne rosną,
które zwolą dla mej trumny?

Chcę je ujrzeć choć z daleka,
jak się w słońcu śmieją dumne,
nieopatrzne, nierozumne,
nie wiedzące, co je czeka.

Bracie dębie, sosno siostrzo,
dzis w obłoki się patrzycie,
jutro drwał siekierą ostrą
zetnie wasze bujne życie.

Dzis was cieszy deszcz i rosa,
rozjaśniony strop niebieski,
jutro stolarz was ociosa
i zhebluje gładkie deski.

Chcę pogłaskać was po korze
w blasku słońca, w skwarze lata,
zanim kości swe w was złożę,
zanim los nas wspólny zbrata.

GRAMATYKA

Jeszcze mówię o sobie
w pierwszej osobie:
stałem na Rysów szczycie,
kocham słoneczny pył,
wstanę o świcie.

Jutro,
kto nie zapomni,
w trzeciej osobie powie o mnie:
żyl...

Nałęczów, 11 czerwca 1971 roku
(Wiersz z teki pośmiertnej Poety)

EXCELSIOR!

BYLEM chłopcem, kiedy Blériot dokonał na swym jednopłatowcu przelotu przez La Manche. Ile się o tym wtedy pisało! Jak wynosiło się pod niebiosa jego bohaterstwo! A przecież chodziło tylko o mizerną odległość z Calais do Doveru i okręty towarzyszące na wodzie lejącemu Blériotowi zabezpieczały go w znacznym stopniu przed niebezpieczeństwem na wypadek awarii w powietrzu.

Upięknio osiemnastolecie lat. Kursowały już samoloty pasażerskie obsługujące linie lotnicze nad kontynentem, ale próba przelotu nad oceanem uważano za objaw szaleństwa. A jednak Lindbergh samotnie, na jednodniowym aeroplanie pokonał zwycięsko przestrzeń dzielącą Paryż od San Francisco.

Zywiol powietrzny został ostatecznie ujarzmiony i dziś tysiące ludzi w odrzutach pasażerskich przelatują szybko i wygodnie Atlantyk i inne oceany. Przywykliśmy już do tego i nawet przestaliśmy się dziwić.

Kiedy przyszedł na świat mój ojciec, nie znało jeszcze oświetlenia elektrycznego; gdy ja się urodziłem, kino nie było jeszcze powszechną rozrywką; syn mój swym pierwszym krzykiem powitał Polskę, gdzie aparat radiowy należał do rzadkości, na którą mogli się zdobyć tylko zamożni ludzie, a telewizja w ogóle była w powijakach. A dzisiaj? Nikt z nas nie myślał o nadejściu „wieku atomu”.

Uczyłem się geografii z map, na których tu i ówdzie widniały jeszcze białe plamy znaczące nie zdobyte przez człowieka przestrzenie. Wkrótce potem z wypiekami na twarzy czytałem o osiągnięciu przez Peary'ego bieguna północnego, a w dwa lata później — południowego przez Amundsen. Himalaje, Czomolungma. Przy mojej pasji alpinistycznej śledziłem krok za krokiem przebieg kolejnych wypraw na zdobycie najwyższej góry świata i w wierszach składałem hold bohaterkiej śmierci Irvine'a i Mallory'ego. Długo opierała się Czomolungma, aż i ona padła.

Człowiek zdobył ziemię i jej otoczek — powietrze. Człowiek zapragnął sięgnąć wyżej.

I znów cofnę się do dalekich lat mojej przyjaźni z genialnym Verne'm, którego wszystkie niemal fantazje stały się rzeczywistością, z Welsem, z Żulawskim. Do matczynej łonki, przez którą

usiłowałem wypatrzyć kraterę na księżycu. Do chłopców marzeń o podróży międzyplanetarnych. Bohaterowie Vernowskiej powieści „Z ziemi na księżyc” nie osiągnęli naszego satelity, ale okrążywszy go wrócili na naszą planetę. A do podróży swej użyli specjalnie zbudowanego pocisku, wystrzelonego z obrzymiej armaty. „Pierwsi ludzie na Księżycu” Wellsa dotarli tam dzięki wynalazkowi specjalnej substancji „kaworytu”, izolującej ich pojazd od siły ciężenia Ziemi. Autor francuskiej powieści „Wieżnia na Marsie” (nazwiska nie pamiętam) użył do wysłania w przestrzeń kosmiczną swych bohaterów... zbiorowej siły magnetycznej setek fakirów. Z tego wszystkiego najbardziej realistyczny był pomysł Verne'a, który nie widział jednak możliwości zastosowania rakiet jako napędu do odbycia takiej podróży.

Russel powiedział, że „więcej prawdy zawiera fikcja, fantazja naukowa, niż praca poważna, która rzekomo podaje fakty”. Można się zgodzić z filozofem angielskim, lub nie, faktem jest jednak, że wczorajsza fikcja w naszych oczach przyoblała się w kształty realne: tunik dotarł do srebrnego globu, drugi zrobił zdjęcia niewidocznej części księżyca; gdzieś tam jeździ jej nie rozpryskały meteoryty, lecz rakietą skierowana ku planecie Venus, Gagarin dokonał epokowego lotu kosmicznego dookoła Ziemi.

I gdy pomyśle o tym, gdy sumuje fakty, podziw mnie ogarnia dla geniuszu ludzkiego, który w swym rozwoju zda się nie mieć granic. Podziw dla wiedzy uczonych radzieckich, którzy potrafili skonstruować tak precyzyjną maszynę, i czcść dla bohaterstwa człowieka, który nie zawahał się wsiąść do rakietki, która mimo wszystko mogła stać się latającą trumną. Co przeżył w ciągu tych historycznych stu ośmiu minut, kiedy przebywał w absolutnej samotności na zawrotnej wysokości trzystu kilometrów, w ciągu tych minut, które mogły być ostatnimi w jego życiu — o tym wie on ledem. I jaki opromiłoświecenia i heroizmu krył się za prostymi słowami jego żołnierskiego meldunku: spełniłem zadanie.

MŁODZI POECI LUBELSCY

Waldemar Dras

KOBIETA Z MOJEJ KAMIENICY

Kobieta z mojej kamienicy
jest wdową
modli się wieczorem
i krzyczy

lubi kwiaty i jest skąpa

wygania dzieci ze
zniszczonego ogródka

zrywa zielone orzechy

rano zrywa koks
z trzeciego piętra

nie interesuje się polityką
nie lubi zwierząt

wpuszcza na strych
i sprawdza bieliznę

Nie lubię kobiet z mojej kamienicy
tych które modlą się wieczorem
i
szybko umierają.

Piotr Grauman

ZACZEPIENIE

Moje wzniosłe błędzące po ulicach
Rojenia o pewnej strażce Karola Baudelaire
Ja idący o poranku pewnym wierszem
Zatrzymany zniecierpliwioną prośbą o ogień
Spoglądający na kolejno zapalone łamiące się zapalki
Ja przesycony boską tragedią
Nadzieją bez końca
Rozpacz bez początku
Zaczeplony tak nagle w żarze papierosa
W opuszczonym przed chwilą samotnym pokoju ujrzałem
Niecnyimi oczyma wyobraźni zobaczyłem
Widziałem już palące się jasnym płomieniem
Wszystkie moje wiersze

Jerzy Jedziniak

TEJ NOCY

tej nocy pochowano
część starego miasta
w rozbiórce

wczesnym świtem ptaki
budowały już
nowe gniazda

pachniało nowiną
głęboko rytych
wykopów

tej nocy
rodziło się
Nowe Miasto

nie było
złodziei snów



Rys. E. Ingłot

Kamena str. 14

Marian Janusz Kawalko

CHACONNE DLA TRZYDZIESTOLETNIJ

Trzydziestorzeczna
- z Twoich piję źródeł
Trzydziestostrunna
- Tobie składam pieśni
Trzydziestoświęta
- do Ciebie się modlę
Trzydziestodumna
- wierz mi
Trzydziestodzielna
- hojnie darzysz braci
Trzydziestopienna
- z serc dłoni i marzeń
Trzydziestopolska
- żyjesz i przebaczasz
Trzydziestoletnia
- razem

Stanisław Andrzej Łukowski

LIST

Zszarzały kwiaty, gdy głębiej w nie wejrzeć.
Codziennosc tych schodów - jakże one nużą!
Te same stopnie i ten sam oddech, gdy tymczasem
sny nad przepaścią -
No i te utarczki.
Ta ręka, to oko, to znów twarz własna - że nie trzeba
lustra,
to znów chybota nogi, jeśli nie ten stopień.
I głowa. Głowa, gdzie więcej ucieczek niż wspinania.
Jednakże biegli w człowieku powiadają:
oczy - trochę tej zieleni, której brakuje za oknem
ręka - nic nie szkodzi, jeśli nie jest w stanie sprostać,
gdy trzymasz w niej pióro
Jeśli o twarz chodzi - to zmienilem lustro.
A głowa? Głowę najlepiej wymienić dając nura w
książki,
w cudze nieszczęścia, które jednak pocieszają.
Najlepiej jednak stępić noże, do golienia używać elek-
trycznej maszynki, co też uczynilem.
O czym z pogodą staram ci się donieść

Henryk Makarski

JUŻ MNIE NAKLANIA ANIA

(Z cyklu Wiersze rodzinne)

już mnie nakłania łania Ania moja
żeby się znowu zabawić ze słowem
do szklanej butli wpuścić ślepe pszczoły
do szklanej butli zarośniętej miodem

już moja dobra obrażona żona
z kąta wymiata zeschle metafory
jesteś urzędnik nie poeta - zobacz
Magdusia płacze - kończy rwać twój tomik

i nawet pegaz/drwić już się ośmiela
krawat mi wiąże drań i czyści buty
a gdy wywieszam białą flagę pieluch
on rzy sztyrderczo - kołysankę nuci

Jerzy Krzysztof Misiec

KIEDY ZRYWA SIĘ...

droga przepływa mu przez krtań
przeźren między zenitem oka
a wytrzymałością żwiru
przenika w głębi piersi napiętych

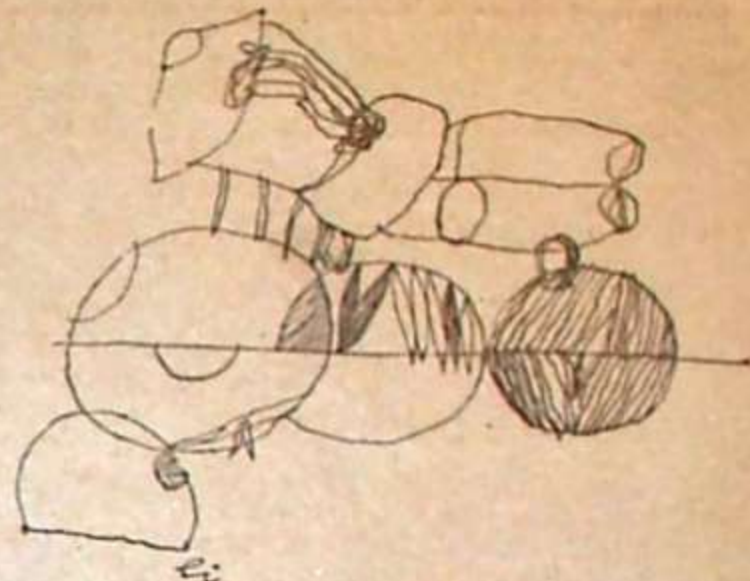
wypluwa błota ze swych ust
biegnący po pełny oddech
za którym wiersze zapłoną
od jego ręki która będzie pochodnią.

Janusz Olezak

SNY STARUSZEK

Ich szafy pancerne to lóżka
rubelki trzymają w poduszkach,
na twarzach ich narzeczonych
carskie tłoczono brody.

Skradają się sny przycajone
i kradną ruble
lub narzeczone.
Wtedy carowie z tych monet
biorą skrzywdzonych stronę.



Rys. E. Ingłot

Aleksander Rozenfeld

* * *

ja trzydziestotrzyletni zapisywacz wierszy
mam wytłumaczyć memu czteroletniemu synowi
co to jest ojczyzna
więc tłumaczę mu co to jest zapach i barwa
imiona zwierząt i ptaków
nazwy drzew w lesie i przy drodze
słowo mama złożone z kólek i lasek
tak zapisane może być tylko w jednym języku
po polsku
odkrywam przed dzieckiem błękit nieba
dla dorosłego już tylko banal
czteroletnie oczy widzą jeszcze
świeżość błękitu
dla mnie jeszcze jedna powtórka z polskości
usiłowanie znalezienia najprostszycich słów
dla wytłumaczenia małemu człowiekowi
co to jest ojczyzna
i jak do niej przynależać

VIII 1974

Anna Waszczuk

GOŁĘBNIK

w gołębniku
aureole zamykają
planowo
nad głową
wszystkich świętych
mówią
sobie nie samym
biorą
dla siebie nie samych
a odciski na duszach
znów przemienne
w kantyczki
a tych
co na rżysku
opuchlizną na tyłkach
leczyć chcieli za centy
a wigoru im starcza
tylko na ręk opuszczenie
i flaczenia mięśni -
upomnieniem wypieszczą
uśmiechem zahaczą
według powinności
lecz na miarę piętna
w istocie za małą
jeremiady nie przerwą:
w gołębniku
grają w kości
i karmią zakalcom

Piękny wrześnieowy dzień...

Zygmunt Mikulski

KIEDY w wyzwolonym Lublinie zebrało się tylu pisarzy, że myśl o formach organizacyjnych tej społeczności stała się aktualna, powstała inicjatywa reaktywowania Związku Literatów Polskich. Inicjatywa nie mogła powstać gdzie indziej, niż w gmachu przy ulicy Krakowskie Przedmieście 62, gdzie mieściła się redakcja „Rzeczypospolitej”, „Odrodzenia”, „Wsi”, Radia, Polpressu, gdzie w końcu za sprawą dwu Jerzych — Borejszy i Putramenta — rodziło się 99 proc. wszelkich inicjatyw kulturalnych.

Pamiętam ten jakże pogodny dzień wrześnieowy, któremu oddzielnie należałoby poświęcić solidną porcję wspomnienia. Jasny, ciepły, zapraszający na werandę. Bo właśnie na werandzie się zaczęło. Ponemiecki pałacyk (Haus der NSDAP) przy ulicy Radziwiłłowskiej, gdzie miało się odbyć pierwsze zebranie ZLP, był tak usytuowany, że po wejściu do ogrodu z jednej strony miało się ogróć po stronie drugiej, więc chwilę przed początkiem spędzało się w georgicznym otoczeniu. Osobliwe było widzieć ten napływ osobistości znanych z literatury od strony ich dzieł, poznawanych teraz od strony naczyni oglądanych — czasem zaskakująco sprzecznych z wyobrażeniami — ich fizjonomii. Niewtajemniczeni nie mogli się powstrzymać od pytań „Kto to?”, „A gdzie Putrament?”, „Czy będzie Rzymowski?”.

Wtedy po raz pierwszy ujrzałem Juliana Przybosa. Niski, kruchej konstrukcji fizycznej blondyn, z ręką opartą na biodrze dla podtrzymania letniego płaszczka, w tych warunkach meteorologicznych więcej niż niepotrzebne. Janusz Minkiewicz ze swoją postacią wydatnie pochyloną do przodu i z wyrazem twarzy życzliwie złośliwego Mefista — jakże udatnie podchwyconym przez niezrównanego Jerzego Zarubę — przesuwał się wśród grupek rozmawiających absolutnie nie dając się sprokować do uronienia choćby słówka. Zwalista postać Jana Huszczy dominowała nad otoczeniem, w którym ani dojrzeć Adama Ważyka. Mieczysław Jastrun jak zwykle wykonywał ruchy wyłącznie funkcjonalne, wyłącznie konieczne dla znalezienia się jednostki w określonej sytuacji przestrzennej, absolutnie wolne od obejmującego zebranych kinetycznego ożywienia. I jeszcze Zofia Bystrzycka i Jan Wasowski i młodzi literaci lubelscy i — w ogóle

wszyscy, którzy mieli, albo rokowali jakikolwiek związek z literaturą, jak np. cała grupa zaproszonych na zebranie maszynistów „Rzeczypospolitej”.

Ożywienie owego initium było wyczuwalne ponad wszelką wątpliwość, bo choć w okolicznościach poprzednich, mniej lub więcej przelotnych, wszystkim ze wszystkimi zdarzało się stykać, to jednak w takiej masie i w sprawie tak zobowiązującej zebrani znaleźli się po raz pierwszy. Po raz pierwszy od pięciu lat, w ciągu których ich losy jakże różnie się układały. A przede wszystkim: po okupacyjnej przerwie powoływali do życia organizację literacką, chwila więc — jak wiele wówczas — wprost historyczna.

Ileż mundurów! Putrament, kiedy w dyskusji doszedł do głosu, dla zapewnienia o doniosłości pisarskiego zajęcia złożył nieomal oficerską przysługę. Stanisław Jerzy Lec — późniejszy mistrz cienkiego aforyzmu — grzmiał słowem twardym i beceremonialnym, a w ogóle na zebranie przyszedł z karabinem, tyle tylko, że zostawił go w jakiejś szatni czy gospodarczej przybudówce. Jan Aleksander Król z twarzyczką urodziwego dziewczęcia, za to sposobem trzymania się zawsze obliczonym na wyeksponowanie trzech kapitańskich gwiazdek, wkręcał się zreczenie w grupki dyskutujących zbierając zamówienia na artykuły do „Wsi”. Zofia Bystrzycka miała gwiazdkę za ledwie jedną, ale nie potrzebowała aż tyle starań wkładać w jej zademonstrowanie, gdyż jako kobieta zwracała uwagę zgłola innymi elementami wyglądu.

Kto przewodniczył? Nie dam już głowy. Za to świetnie pamiętam głównego referenta, pamiętam, ale nazwiska nie wyjawiam. Nie ujawnił go dotychczas nikt, choć mało prawdopodobne, by ktoś z ówczesnych obecnych mógł je zapomnieć. Tego się nie zapomina. Taki konglomerat pogmatwanych metafor, określeń wijących się jak wąż Laokoon, zestawień słownych dających w efekcie mniej niż nic — zdarza się raz na trzydzieści lat. Limit więc został wyczerpany. Bądźmy wyrozumiali. Aczkolwiek wielu na sali walczyło o zachowanie powagi, młody autor ma na swoją korzyść okoliczność usprawiedliwiająca: było to zaraz po wyzwoleniu, w obecności tylu powag, wobec potrzeby powiedzenia czegoś, co obowiązkowo musiało zbulwersować wszystkich. Więc zbulwersowało. Kto nie wierzy,

niech sięgnie do książki „W stołecznym Lublinie” na str. 78.

Ale co się stało ważnego? To, że literatura otrzymała swoje „pięć hektarów”. Tak się nazywało przydział warsztatu i zainteresowania ze strony władzy ludowej. Już nie zlepek prywatnych inicjatyw (zresztą traktowanych bardzo przychylnie), ale formalnie utworzona organizacja, mająca oprócz życzliwości departamentów również podstawę prawną. I jakkolwiek — jak stwierdził w dwadzieścia lat później Jarosław Iwaszkiewicz — lubelski zjazd „numerka nie otrzymał”, bo odbył się w warunkach niepełnego wyzwolenia kraju, to jednak miał swój skutek prestiżowy i organizacyjny. O ileż łatwiej było później uchwylić przyczółek Krakowa czy Łodzi startując z już uformowanej pozycji lubelskiej.

O ileż zresztą łatwiej było działać i w samym Lublinie. Pierwsze literackie książki („książki” — może przesada, ale „pozycje wydawnicze” będą brzmiały jeszcze pretensjonalniej) miały już swojego wydawcę. Był nim ZLP. Pierwsze zebrania dyskusyjne miały swego organizatora. Był nim ZLP. Międzybranżowe spotkania twórców miały swoje literackie „ramię”. Był nim ZLP. Na pewno też nie bez pomocy w postaci istnienia już gotowej organizacji literackiej powstała Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, założona przez Jerzego Borejsz i Zofię Dębińską.

Pamiętam te dyskusje. Były dość trudne, ponieważ dyskutantów dzieliły doświadczenia nie tylko wojenne ale i przedwojenne, to znaczy oprócz nazwisk utrwalał tam startowało tam wielu nowicjuszy aktywnie zainteresowanych pisarstwem, ale wyłączonych z możliwości zadokumentowania tego drukiem wobec dokonanej wyrwy pięciu lat. Z tegoż powodu również różnice w zasobie wiadomości istniały znaczne. Jeden z młodszych radził sobie w ten sposób, że bez względu na temat rewelował materiał aktualnie odbywanych lektur, co również utrzymywało na intelektualnej fali. Nie w tym rzecz, czynił to zresztą z wdziękiem erudyty-hochsztaplera, którym nie bez rezultatów pozostał do dziś. Rzecz w tym, że dyskusje rzeczywiście odbywały się w znacznym ferworze towarzyskim i zaangażowaniu umysłów, a ich pożytek polegał na tym, że jakgdyby przynosiły powtórną młodość. Tak, w ten sposób — z przejęciem, z uporem, kolosalnie serio — rozmawiano się tylko w młodości. Czyż zresztą nie wszystko było wówczas nowe i pełne rozmachu?

Druga tych rozmów właściwość to ta, że stanowiły (uwaga: modny dziś termin) „zderzenie” bardzo różnych postaw. Jak mogło być inaczej? Kościuszkowiec, partyzant, wieczny uciekinier pięciu lat okupacji, więzień gestapo — to się składało na różnice losów życiowych. A orientacje artystyczne? Dwudziestolecie wciąż jeszcze było w pamięci, przewartościowania okupacyjne grały swoją rolę, udział w walkach nadal nowego życia kryteriom i światopoglądem, prognoza zapotrzebowania na literaturę niedalekiej przyszłości formowała nowe spojrzenia. Mówiło się wiele, rozprawiano się wiele, bo i potrzeba wygadania się istniała — nie zmniejszona nawet wtedy, kiedy widoki na porozumienie nikły. Drugi pokój redakcji „Odrodzenia” w godzinach wieczornych zmieniał się w literacki Hyde Park okresu PKWN. Dlaczego „drugi”? Przecież chodzi o gabinet naczelnego redaktora, Karola Kuryluka. Tak, ale naczelnym nie „urzędował”. Za dużo było spraw z korektą, papierem, drukarnią, łapaniem autorów, żeby tkwić na jednym miejscu być narażonym na atak zawsze mających furę czasu grafomanów.

Związek Literatów powstał. Czy łączyły się z tym jakieś korzyści praktyczne dla poszczególnego członka? W znaczeniu dzisiejszym — nie. Nie było legitymacji, spotkań autorskich, interwencji wydawniczych, stypendiów, bankietów. Wróć! Pamiętam jeden obłęd w owymże pałacyku przy Radziwiłłowskiej (dziś Dymitrowa) urządzony wkrótce po zebraniu w celach zapoznawczych. Dla kompletnego żółto-dzioba cóż za frajda! Po raz pierwszy w życiu powiedzieć kilka słów, żeby się liczyły, żeby wywołały jakiś odźwięk w dyskusji z poważnym, ba, słynnym autorem siedzącym obok. A „liczyły się” i „wywoływały”. Cóż, konwenans towarzyski rzecz potężna, a młodemu los pozwolił zachwycić się sobą, skoro wyraził tyle „ciekawych poglądów i koncepcji”. Młodych wówczas było sporo. I to też jedna z korzyści reaktywowania Związku Literatów Polskich w Lublinie.

Trzydzieści lat. Historycy literatury, krytycy, badacze, niech się zastanawiają nad dorobkiem tego sporego kawałka czasu. Co zresztą robią. Dziś jest okazja spojrzeć pamięcią na ten piękny wrześnieowy dzień, który dał początek przeszło tysiącletniej organizacji piarskiej w odrodzonej Polsce. Co też robimy.

Z LUBLINEM łączą się dla mnie różne wspomnienia, także chwil historycznych, bo pierwszy raz znalazłam się tam na przełomie lat 1944—45, a potem, jako stała mieszkanka (1951—62) przeżywałam wraz z Miasteczkiem Uniwersyteckim 1956 rok. Poznałam także osobiście wielu ciekawych, niepospolitych przedstawicieli lubelskiego środowiska naukowego i artystycznego, niektórzy do dziś zaszczycają mnie swą przyjaźnią.

Ale wydarzenia historyczne są dobrze znane i były wielokrotnie opisywane przez pióra, znakomitsze od mojego. A wybitni mieszkańcy Lublina także nie mogą narzekać na brak uznania i popularności. Dlatego zaproszona do udziału w święcie wspomnień z okazji 30-lecia — postanowiłam napisać o dwu osobach całkiem nieznanym, które dla mnie związały się nierozłącznie z latami lubelskimi. O dwu paniach Mariach, które pomagały mi w prowadzeniu gospodarstwa domowego, obie zaś były postaciami na swój sposób nieprzeciętnymi.

Pierwsza Maria była kobietą całkiem młodą, a jej zasadniczym zawodem była praca salowej w jednym z lubelskich szpitali. Była wysoka, masywna, grubokoścista, a przy tym bardzo szybka i sprawna w robocie, jakby ją roznosił jakiś nadmiar sił witalnych. Uwielbiała małe dzieci, z tkliwością brała je na ręce, przemawiała jakimś wymyślonym przez siebie językiem, tuliła do szerokiej piersi. Zdaje się, że bardzo chciała wyjść za mąż i mieć „normalny” dom, ale w czasie, gdy do nas przychodziła — miała tylko niesłubnego syna, sporego już chłopaczka, podobnego do niej z postawą, z rysów i z jakiegoś chmurnego wdzięku. Bar-

dzo ją lubiłam, a ona chyba także odplacała mi sympatią, niemniej jednak pewnego dnia po prostu znikła: bez żadnej zapowiedzi przestała przychodzić i mimo starań nie udało mi się z nią skontaktować. Nie pomogły wyprawy na Sławinek,

nej ciąży. Uśmiechnęła się do mnie, ale nie podešla: obawiam się, że jej nadzieje na „własnego” męża i dom znów okazały się płonne. Potem nigdy już jej nie widziałam, ale mimo krótkich kontaktów pozostało mi po niej dobre wspomnienie.

Druga pani Maria była całkiem inna. Przyszła do mnie z ogłoszenia w gazecie i w pierwszej chwili nie wzbudziła zachwytu: mała, niepozorna, o niezbyt regularnych i niezbyt pociągających rysach, trochę płaskiej, szarej twarzy. Ale potem okazało się, że był to jeden z najrzetelniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałam; nazwaliśmy ją wręcz „Perłą”. Miała za sobą ciężkie przejścia: jej trzech synów zginęło w czasie wojny w okolicznościach wyjątkowo tragicznych. Po wojnie mimo wszystko zdecydowali się z mężem na jeszcze jedno dziecko. Była to córka, oczko w głowie i jedyna radość pani Marii, która harowała od rana do nocy na utrzymanie domu; mąż, inwalida, miał tylko skromną rentę, a wymagał nieustannego leczenia. „Perła” była pracowita, staranna, małomówna; nie znałam chyba drugiego człowieka tak uodpornionego na urok plotkowania. Po naszym wyjeździe z Lublina „odziedziczył” ją jeden z zaprzyjaźnionych profesorów i także nie mógł się jej nachwalić. Niedawno dowiedziałam się, że jej córka, już dorosła, wyszła za mąż za Włocha i zabrała matkę (bo ojciec zmarł wcześniej) do Rzymu. Jeśli jakimś trafem ten numer „Kamena” miałby pani Marii wpaść do rąk — chciałabym jej przesłać tą drogą najlepsze pozdrowienia.

DWIE MARIE

Anna Tatarkiewicz

gdzie teoretycznie mieszkała z siostrą w jakimś drewnianym domku nie na miarę jej zamasywłej postaci.

Po paru miesiącach przypadkiem spotkałam ją w jakiejś „kolejce” — była w mocno zaawansowa-



Rys. E. Ingłot

O... — szepnął w chwili, gdy czytana gazetę rozłożył i wzrok jego padł na następną stronę.

— Coś ciekawego?

— Ciekawego — powtórzył bezmyślnie, bo zagłębił się znów w lekturze.

Siedzieliśmy w kawiarni, na tarasie, dzień był słoneczny, tu było chłodnawo, przyjemnie, pusto było dokoła — i na tarasie i na ulicy, pusty dzień letni, przedpołudniowa godzina. Poszedłem wzrokiem za jego oczyma, ślizgającymi się po niedługiej notatce naprzód szybko, potem wolniej, gdy czytał po raz drugi tę wiadomość, opatrzoną tytułem w czarnej obwódce.

Ten tytuł stanowiło imię i nazwisko i przed nimi skrót, który dojrzałem wyraźnie: „Prof.” — Widać zmarł jakiś jego dawny nauczyciel — pomyślałem i dopilem ostatni łyk herbaty.

Doczytał, pokiwał głową i odłożył gazetę.

— A więc umarł — powiedział jakby do siebie.

— Jakiś twój profesor?

— Nie.

— Znajomy.

— I tak i nie — uśmiechnął się niechętnie. — Znajomy... — można i tak to nazwać. Ale rozma-

wiałem z nim tylko raz jeden w życiu — a widziałem go trzy, cztery razy, nie więcej. Czy więc znajomy?

— Ale w każdym razie wiesz coś o nim, inaczej nie zainteresowałbyś się tak dalece tym nekrologiem! — Wziąłem odłożoną gazetę i przeczytałem: „Prof. Jan Klamowicz”. — Nic mi to nazwisko nie mówi.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się znów. Potem spytał:

— A nazwisko Klamm mówi ci coś?

Szukałem w pamięci — tak, nie pierwszy raz słyszałem: Klamm...

— Ależ oczywiście! — zawolałem. — To ty mi przecież opowiadałeś o tym tragicznym więźniu! Klamm, ten w obozie, gdzie ty byłeś, oczywiście...

NEKROLOG

Witold Zechenter

Więc — Klamowicz ma coś z nim... Klamm... Klamowicz...

— To on.

— On? Profesor Jan Klamowicz — spojrzałem w gazetę — piszą o nim w superlatywach: „przyjaciel młodzieży, zasłużony pedagog, jeden z pionierów na ziemiach zachodnich, całe życie oddał szkole...” Jak to możliwe? Mówiłeś wtedy, przed laty, że Klamm chyba zginął?

— Różne rzeczy działy się wtedy, przed laty, zbrodniarze uciekali, wychodzili cało, do dziś żyją tu czy tam — a ginęli nieraz najniewinniejsi, przypadkiem ginęli, omyłkowo, albo z prowokacji... Ale ponieważ on już nie żyje, opowiem ci dokładnie, bo to istotnie pasjonująca historia... Jego śmierć zwołała mnie zresztą z przyrzeczenia, jakie dałem przed laty Klammowi-Klamowiczowi podczas tej pierwszej i ostatniej rozmowy, jaką z nim przeprowadziłem, przypadkowo zresztą, bo go wcale nie szukałem...

Poprawił się na krześle, jakby przygotowując się do dłuższego opowiadania.

— Jak sobie może przypominasz, mówiłem ci — wśród innych opowieści, wspomnień z lat obozowych — że pod koniec już wojny, tak gdzieś w połowie 1944 roku, przyjechał do obozu z jakimś transportem on właśnie, Jan Klamm. Jak się okazało, ciążył na nim wyrok śmierci, który postanowiono wykonać w zabawny i pomysłowy sposób — a nadludzie, zwłaszcza ci w mundurach gestapowskich, lubowali się w takich różnych urozmaicheniach. Klamm mieszkał przed wojną gdzieś na Wołyniu, był niewątpliwie pochodzenia niemieckiego, ale długo wykręcał się od folks czy

reichslisty — ja ci to tak chaotycznie opowiadam, bo wiązę wiadomości z mojej ówczesnej, obozowej świadomości z tymi, jakie doszły mnie potem, z tym wszystkim, o czym dowiedziałem się od niego samego, wiele lat po wojnie. Wtedy, w pierwszym czy drugim roku okupacji, jakoś go wreszcie zmusili i podpisał niemiecką listę, ale tylko pozornie przystał do wrogów, bo skumał się z podziemiem. Pełnił jakieś oficjalne funkcje w tym małym miasteczku wołyńskim, ale był w kontakcie nawet z partyzantką, no i w końcu wpadł. Jak przypuszczam, zrobił tam wiele dobrego — no cóż, dostał wyrok śmierci do wykonania w obozie, ale w specjalnych okolicznościach. Otóż mógł sobie ten wyrok prolongować przez odpowiednie wysługiwanie się komendanturze obozu. Pomyśl sobie: na apelu podano to nam, więźniom, oficjalnie do wiadomości, więc też unikaliliśmy, Klamma, baliśmy się go więcej, niż esesmanów, niż naszych bezpośrednich zwierzchników — katów... Bo przecież tylko w jeden sposób mógł on odsuwać od siebie wykonanie wyroku, który na nim ciążył, który był wciąż w mocy — tylko w jeden sposób mógł prolongować swe życie. Terminy takiej prolongaty zależały od oceny czy humoru komendanta obozu. Ale w każdym razie wyglądało to tak, że Klamm po prostu denuncjował: wypatrzył jakieś nieposłuszeństwo, jakiś więzień spóźnił się z czymś, z jakąś pracą, obojętnie, co to było, niesubordynacja, drobna kradzież, kłótnia... Klamm donosił, otrzymywał prolongatę na jakiś termin, ale sam musiał ukarać więźnia chłostą czy inaczej, jak popadło. Kat, prowokator — tak go nazywano w naszej grupie, w naszym baraku i cieszyliśmy się tylko, że nie przydzielono go do nas.

Zamyślił się na chwilę, potem ciągnął dalej:

— Pokazano mi go raz z daleka — siedział w pustce, bo tak mógłbym to określić — w strasznym milczeniu, pogardzie i przerażeniu, uciekano na sam jego widok, starano się być jak najdalej od niego — ci tylko, co padali z ostatecznego wyczerpania, co już prawie nie żyli, pół — trupy, mułmanie, było im wszystko jedno, i tak byli już skazani — ci tylko nie zwracali na niego uwagi. On też nie patrzył na nich, bo w czymże mogli by mu pomóc? Plotka wyolbrzymiała jego wyczyny, już wtedy sądziłem, że należałoby ograniczyć jego sposób ratowania swojego życia do kilku czy kilkunastu wykonanych przez niego chłost, do asystowania przy egzekucjach, raz tylko — jak sam mi wyznał — raz tylko jeden musiał wykonać karę śmierci, odegrał rolę kata na podeście szubienicy. Jak było w tym piekle grozy, jakim był obóz, tak było — w każdym razie nagłe, bravurowe oskrzydlenie tej części kraju i zdobycie szturmem obozu ocaliło nas od śmierci bezpośredniej czy też od śmiertelnej ewakuacji, a jego ocaliło od tej śmierci, na którą był od miesięcy skazany i którą sobie odraczał. Nikt nie wiedział, jak w tym ogromnym zamieszaniu, w tym bałaganie grozy i szczęścia, wystrzałów i pieśni, okrzyków i łez — zaginął, zniknął. Mówiono, że poszedł z grupą zapóźnionych w ucieczce funkcjonariuszy obozowych, których gdzieś dopadnięto, bronili się, kilku zginęło — ale nikt nie wiedział dokładnie. Minał koszmar, mijały lata, zapomniałem, o Klammie też — opowiedziałem ci o nim gdzieś tam kiedyś, prawda? Bo to taki wyrok na raty, temat

PAN SOŁŁOHUB I KAPITAN

NASTRÓJ był raczej żartobliwy. Upał żelaza, w dodatku ktoś dostarczył gościnemu gospodarzowi kosz papierówek.

— Aż się wierzyć nie chce, że jeszcze mogą być takie jabłka.

— Kosztujcie, panowie, kosztujcie...

Papierówki były rzeczywiście nadzwyczajne, wyglądały jak jajowato-graniaste ciała świecące, które w dodatku wypromieniowywały aromat. Chrupało się owoce z jakimś nawet żalem, ale tym skwapliwiej. Gospodarz zaś skorzystał z naszego wdzięcznego zaabsorbowania.

— Idę ja wczoraj zamyślony. To te papierówki wywołały takie różne wspomnienia. Skręcając na rogu ulicy, potrąciłem jakiegoś kapitana. To się sumuje i mówię grzecznie, grzeczniutko. „Najmocniej pana kapitana przepraszam, Ja niechęć!” A on tęczką podniósł z chodnika, bo mu tęczka aż wypadła z ręki, małego był wzrostu, i zdziwiony patrzy na mnie, nawet zapytał: „Za co pan przepraszasz?” Nie, nie szanują się ludzie. U nas bywało inaczej...

— Panie Hieronimie, przepraszam, że tak poufale... gdzie i kto mógł u was kogo potrącić? Gościńce szerokie, przejezdnych mało, w miasteczkach chodniki wąskie nawet, ale przechodzień chyba zdarzał się jeden na kwadrans...

— Słuchajcie! Pana Śnipiszkę potrąciła raz... stara brzoza przy gościńcu, gdy w ciemności wracał od sąsiada. Potrąciła, prawdę powiedziawszy, tak mocno, że rankiem zobaczył guz wielkości kartofla na łbie...

— Pijany był i zawadził o drzewo...

— Możliwe. Ale pan Śnipiszka poczuł się tak obrażony, że natychmiast kazał drzewo spiliwać. A pan Śnipiszka z wojska był tylko wachmistrzem. Gdyby był rotmistrzem, to może i trzy brzozy spilowanoby...

PAN SOŁŁOHUB O SEKRETACH

POPATRZCIE, panowie, jak wszystko łatwo można zgnoić! Toż to ledwie połowa listopada...

Rzeczywiście, z kilku przyniesionych ze sklepu ogórków kiszonych, po rozkrojeniu na półki, miększy z ziarenkami prawie sam wypływał, zostawało tylko coś tam przy zielono-żółtych skórkach.

Musieliśmy pić pod chleb z masłem, zaś pan Sołłohub mówił dalej:

— U pana Onoszki jeszcze na Wielkanoc podawano ogórki, jakby przed miesiącem zerwane były z grządek i włożone do beczki...

— Jak on to robił?

— Miał jakiś swój sekret. A teraz to wszędzie partacze. Dawniej ludzie lubili mieć swoje sekrety. Był u nas taki stolarz i murarz jednocześnie, co jak spoił deskę z deską albo cegłę z cegłą, łatwiej było rozluźnić deskę czy rozbić cegłę, niż oddzielić je w spojeniu... Albo, panowie, ten nastój z ziółek i

korzeni, jaki zawsze miał u siebie w butli pan Hodwil! Gdy człowiek źle się poczuł, pojechał do pana Hodwila, bo to niedaleczko, wypił pół kubka nastoju i po wszystkim... Nie mrugajcie do siebie, panowie, tamten nastój wcale nie był na spirytusie!

— Ale najdziwniejszy sekret to trzymał się osoby pana Niemiry. Kto tyl-

pobiegł do przerebła, wykapał się, wrócił, zachorował na zapalenie płuc, po tygodniu umarł. Jego żona zaklinała się, że mąż tego dnia nie wypił ani kieliszka wódki, wszyscy zresztą wiedzieli, że wójt wyjątkowo był niepijący.

— Ile to krzywd czynią urzędnicy ludziom, są w dodatku pijacy, ale nikt z

CHWILE Z PANEM SOŁŁOHUBEM

Jan Huszcza

ko wyrządził mu jakąś nieprzyjemność albo coś złego, to potem spotykała takiego przykrość, a nawet kara.

— Pan Gubiłowicz próbował kusić żonę pana Niemiry — może nawet ją skusił, płocho była — wkrótce załamał się pod nim most na naszej rzeczce, bryczka się roztrzaskała, pan Gubiłowicz tak rozbił twarz o jakiś kamień w piasku na dnie, że do końca życia wyglądał jak jaki Tatarzyn...

— Pewnego razu pan Niemira zamyślał sprawiedliwie wójta, a ten przez zemstę nałożył takie niesprawiedliwe podatki, że można było pójść z torbami. I, wyobraźcie sobie, panowie, pewnej zimowej nocy wójt w samej tylko ko-

nich w nocy nie biegnie w gaciach do przerebła, żeby się wykapać! A lżej byłoby ludziom żyć! — głęboko westchnął pan Sołłohub, zanim znów zaczął nam nalewać.

— Sam pan Niemira, po prawdzie, też skończył w dziwny sposób. Stało się to jakoś w miesiąc później, jak po rojce w mojej pasiece — dwie stare matki z robotnicami zatrzymały u siebie. Pana Niemirę znaleziono mało przytomnego przy trakcie. Pokrwawiony jęczał, że spadł z dachu, choć nijkiego dachu w pobliżu nie było, były tylko krzaki i ani jednego drzewa, na które można wleźć i potem z niego zlecieć! I pan Niemira już nie wydo-

do opowieści, do filmu nawet... Wyrok, który zmuszał go do stawiania się donosicielem, współpracownikiem naszych katów, czy ja wiem: zbrodniarzem może? No cóż, mógł odmówić i zginąć, to jasne — ale tego nie zrobił... I po latach — rozumiesz, czym jest przypadek — przypadek działa nieraz dosłownie cuda...

Znowu przerwał na chwileczkę, jakby wracał do tego przypadku, patrzył nie na mnie, tylko tam, gdzieś daleko...

— Widzisz... przejeżdżałem przez Dolny Śląsk, miałem przesłanie w Nibowie, taka mała miścinka — i pociąg mi uciekł, następny był dopiero późniejszym wieczorem, a ja tam się znalazłem w południe. Poszedłem więc na obiad, pospacerowałem trochę, coś zwiadałem, lazilem po tym miasteczku i był już lekki mrok, szedłem wąską uliczką i nagle na narożniku wpadłem na jakiegoś mężczyznę — może on na mnie — „przepraszam”, „to ja przepraszam pana” — i zobaczyłem Klammę... Widziałem go trzy, cztery razy w obozie, ale twarz jego, dosyć zresztą charakterystyczna, utkwiła mi w pamięci, bo należała przecież do bohatera niewiarygodnego dramatu, reżyserowanego przez potworną rękę hitlerowskich zbrodniarzy. Nie wiem zresztą, jak się to stało, żem go tak poznał, po latach przecież, zmienionego, w cywilu, nie w pasiaku, o zmierzchu — doś, że powiedziałem: — Klamm... Mężczyzna zatoczył się, jakby go uderzył. — Co pan powiedział? — szepnął. Powtórzyłem wtedy wyraźnie i spokojnie: — Pan jest Klamm, z obozu... prolongowany wyrok śmierci... Patrzył na mnie długo, nie zaprzeczył, wreszcie szepnął: — Pan tam był? — Byłem i wiem. — Co pan zamierza? — zapytał po chwili milczenia, na tej cichej uliczce, w zaułku prawie, w scenerii jakby widzianej w sennym koszmarze. — A co, wedle pana, powinienem? — odrzekłem na to zapytanie. Szepnął: — Zrobi pan, co pan zechce, proszę tylko przedtem wysłuchać mnie. Poszliśmy w kierunku ciemnego skwerku, było zupełnie pusto, usiedliśmy na ławce — i opowiedział mi wtedy wszystko, jak to było na Wołyniu, przed wojną, po wybuchu wojny, jak działał, jak starał się wykreślić, jak go zmuszano — ładna karta życia człowieka wręcz zaszczytowego. Zalał się, ale wciąż był czysty wobec swej ojczyzny — „przecież byłem i czułem się zawsze Polakiem” — przyjął obywatelstwo niemieckie, ale od razu postanowił wykorzystać to dla współpracy z podziemiem, miał już przedtem kontakty i znajomości i jego tam znano i ufano mu. Znowu piękny okres życia, nieraz nawet bohaterские akcje, działalność na krawędzi zguby — aż wpadł. Wyrok — „gorszy, niż gdyby mi od razu wpakowano kulkę w kark” — obóz i tam dopiero, przeżywając tę swoją ustawiczną karę śmierci, uległ terrorowi strachu. „Zgodziłem się na odwołanie wyroku w tym piekle, w którym właśnie zbudziła się we mnie jakaś ogromna chęć życia, pragnienie przetrwania, tam, wobec tyłu śmierci...” Opowiadał długo, powoli — w końcu poza tą jedną egzekucją, gdzie musiał być katem — tak czy tak nie mogło już uratować skazańca nawet, gdyby Klamm odmówił — poza kilkoma wymierzonymi przez niego chłostami — „a starałem się nie udeżać zbyt dotkliwie, tyle tylko, by zadowolić ob-

serwujących nas zbirów” — i poza paroma jakimś drobnymi sprawami nie popełnił żadnych czynów zbrodniczych, nie był takim, którego należało za wszelką cenę unikać i nienawidzić, jak to było w obozie, co doskonale odczuwał i z czego zdawał sobie sprawę. Przy wyzwalaniu obozu udało mu się uciec — po długiej tułaczce, zacieraniu śladów, różnych kłamstwach i wykrętach, którym pomagało zresztą ówczesne rozprężenie, poginięcie akt, zamęt we wszelkiej biurokracji, bałagan administracyjny, osiadł w tej miejscinie, podał się za nauczyciela, a ponieważ miał duże wiadomości i parzył się kiedyś korepetycjami, zaczął uczyć w szkole, która powstała z niczego — uzyskał papiery na nowe nazwisko i tak rozpoczął się nowy etap w jego życiu.

Po chwili milczenia opowieść popłynęła już ku końcowi:

— Zyl zupełnie samotnie, cały dzień spędzał w szkole, brał wszystkie zajęcia, coraz więcej, rano, po południu, poza tą pracą nigdzie nie chodził, nie udzielał się towarzysko, odmawiał wszelkim zaproszeniom, uznano go za dziwaka, odludka, chociaż coraz więcej ceniono jego pracę. Zyl stał pod pretekstem własnego sumienia i czekał na taki moment, jak właśnie wtedy, gdy mnie spotkał, bo przeczuwał, że musi przyjąć taki moment, takie spotkanie, gdy ktoś go pozna. Nosił ciemne okulary, unikał ludzi, wynajmował pokój u jakiejś kobiety, która gotowała mu i sprzątała. Oddaną pracą w szkole w tym miasteczku chciał naprawić kręte drogi swego życia, uważał tę pracę za ekspiację, swój samotniczy tryb życia za pokutę. Długo mówił o tym, wreszcie kończąc już swą dyspozycję. Nie będę zaprzeczać, nie będę się bronić. Jestem już bardzo zmęczony. Wstałem wtedy z ławki, spojrzałem na zegarek — miałem kwadrans czasu do odjazdu pociągu. Powiedziałem mu, że nie czuję się na siłach do sądenia tego dziwnego przypadku — zapomnę o tym spotkaniu, nigdy tu nie przyjadę więcej, bo i po co, nikomu też nie powiem. Daję mu na to słowo. Niech pracuje dalej, żyje, jak chce — a jeśli mu w tym coś przeszkodzi, nie będzie to przeze mnie. On wstał wtedy również, postarzał, nieszczeniwy człowiek, ofiara wyjątkowego okrucieństwa, winny i niewinny zarazem, czy ja wiem... Patrzył na mnie długo, wreszcie rzekł: — Nie wiem, czy mam panu dziękować, bo ja naprawdę jestem już bardzo zmęczony... Odruchowo podałem mu rękę, on jakby bezwiednie uściśnął moją dłoń swoją ręką chłodną i suchą, odszedłem szybko, nie oglądając się za siebie, najkrótszą drogą, zresztą było już naprawdę późno, wsiałem do wagonu prawie już ruszającego pociągu. I dotrzymałem słowa — nie opowiedziałem nawet tobie. Dopiero teraz śmierć Klamma zwolniła mnie z tego przyrzeczenia.

Zapanowało długie milczenie.

— Widać nikt go już więcej — rzekł jeszcze — nie rozpoznał w tej miejscinie, odległej od głównych szlaków, nieciekawej turystycznie. Niósł do końca ten swój niezalozony stryżek, czuł tę niewystrzeloną w siebie kulkę... Nekrolog piękny, pisał o jego pracy, poświęceniu, samotniczym życiu... Jak ja go wtedy mogłem rozpoznać, w tym półmroku, w tym nagłym zetknięciu się u zbiegu ulic... A teraz doprawdy — trudno mi już nawet przywołać przed oczy, jak on właściwie wyglądał... A powiedz: czy był winny? Jak dalece był winny?

Milczałem.

brzał, choć dwa razy dziennie pojono go nastojem pana Hodwila...

— Jak to mogło się stać?! — zawołałem. — Może ktoś z krzaka cisnął w niego kamieniem? Inaczej nie uwierzę w coś takiego!

Oczy pana Sollohuba pod krzaczastymi brwiami na chwilę zrobiły się jak gdyby skośne.

— W wiele rzeczy ludzie nie wierzą, a czy im przez to lżej? Jak ot, mogło się stać, że kiedy konał mój ojciec, to spadł ze ściany na podłogę zegar ciężarkowy z niebieskim cyferblatem?! I rozbił się. A zegar ten wisiał od narodzin ojca.

Pan Sollohub popadł w zadumę, wrócił na chwilę do pasieki:

— Z pszczołkami trzeba ucziwie... Tak to, mieli ludzie swoje sekrety dobre i złe, ale przeważnie pozabierali je z sobą do grobu. I nikt tego nie żałuje, choć powinno być inaczej. Ale najczęściej przez to, że sekretu śmierci nikt dotąd nie zdradził. I co nam z tego, że wszystkie sekrety księżycy podobno ludzie już odkryli!?

PAN SOLLOHUB I DEPOZYTY

OLSZTYN to miasto, w którym łatwo o spędzenie paru godzin rekreacyjnych. Jeżeli, rzecz oczywista, sprzyja temu pogoda. Wystarczy pójść w stronę zamku i gdzieś nad Lyną znaleźć między drzewami ustronną — wyżej lub niżej — ławeczkę. Latwo o to szczególnie jesienią, gdy zaczyna opadać liście nawet w słoneczny dzień.

Poszedłem na taką rekreację, mając w kieszeni marynarki parę nowych tygodników.

Ale na jednej z ławeczek ujrzałem pana Sollohuba.

— Prosimy, pięknie prosimy! — zawołał na mój widok. Użył liczby mnogiej, nie był to jednak jakiś pluralis maiestaticus, ale tylko wzmocnienie zaproszenia, bez czego również chętnie skorzystałbym z towarzystwa, gdyż dawno nie widzieliśmy się, we dwóch zresztą przyjemniej siedzi się nawet w milczeniu, a po tygodnikach niewiele można się spozdiewać, gdyż przeważnie wypełniają je ci sami ludzie, zaprzyjaźnieni ze sobą. Są to jak gdyby pisma rodzinne za społeczne pieniądze — nie na zasadzie tradycyjnie rozumianego pokrewieństwa, ale na zasadzie powiązań towarzyskich.

Panowała pogodna cisza, czasem tylko jakiś nieznamy niski wiaterek zaszeleści wśród kolorowych liści. Nic więc dziwnego, że po wymianie zdawkowych pytań i odpowiedzi, z przyjemnością pograżyliśmy się w rozleniwiającym, a jednocześnie odprężającym milczeniu.

Po jakimś czasie dmuchnął wiatr silniejszy, szelest stał się bardziej głośniejszy, wiatr znów ucichł, ale jeszcze liście wokoło ławki powoli się uspokajały, uśmierzały jak drobniutkie fale.

Słońce było takie, że niekiedy aż mrużyło się oczy przed blaskiem.

I dopiero po tym zrywie wiatru pan Sollohub, mając przymrużone oczy, zasłuchany w niktący, jeszcze trwający bez żadnej już przyczyny, zda się, że zupełnie samoistny szelest — odezwał się:

— Mnie w jesienną pogodę, a nie w zaduszkową pluchę, ot kiedy tak szep-

czą między sobą opadłe listki, wydaje się czasem, że można usłyszeć głosy zmarłych ludzi. Raz w tym miejscu w zeszłym roku byłem prawie pewny, że z tamtej alejki, co naprzeciw, wyjdzie ojciec i powie: „Weź, synuś, grabie i pozgrabiaj te liście w kupki, bo co tak siedzisz po próżnicy...”

Pan Sollohub zaczął wzdychać i filozofować, nie przeszkadzałem mu, dalej rozkoszując się rozleniwieniem. On zresztą też siedział odchyłony do tyłu, wygodnie oparty o poręcz, nie używał gestów.

— Co zostaje po ludziach, panie? Halinka (to jakaś zmarła przed kilkoma laty krewniaczka pana Sollohuba) zostawiła u mnie kiedyś depozyt. To wtedy, kiedy poszła do szpitala na operację, z której nie wróciła. Taki tam i depozyt, panie! Ładne pudełko z czeczotki, zamykane na kluczyk. Jakoś niedawno otworzyłem jej ten depozyt, bo nie znam nikogo, komu można byłoby go oddać. Jej rodzice dawno umarli, brat poległ pod Monte Cassino... Kilka fotografii, na których tylko jej twarz dla mnie znajoma, jakaś tendetna broszka, pewnie prezent od kogoś lubianego, kilka listów do jakiegoś Kazika, przy nich zaczęta karteczka: „Kaziku! Postawisz tak jak zechcesz, ale pamiętaj, że...” O tej tylko karteczce można rozmaicie myśleć, ale co z tego, kiedy nie wiadomo, kto to taki ten Kazik?... Cały ten depozyt, panie, miał znaczenie tylko dla niej, więcej dla nikogo. To co z takiego depozytu?

Słońce wpadło w chmurę, znowu zaszeleści liście, opuściło nas rozleniwienie, pan Sollohub przybrał pozycję człowieka, który ma zamiar za chwilę

wstać, a po prostu zrobiło mu się chłodniej.

— Ja po sobie zostawię tylko to, co będzie zrozumiałe i pożyteczne dla innych.

— Może jakieś carskie rubelki? — zażartowałem.

— Może i parę pięćdziesiątów w kuferek się znajdzie... — odrzekł pan Sollohub wymijająco. — Ale mnie chodzi o papiery. Zostawię wypróbowany przepis na mocne piwo, tu zupełnie nieznaną, przepis na kulebiakę, przepis na...

— Gdyby pan tak zostawił przepis na życie! — powiedziałem całkiem serio, gdyż od dawna imponowała mi godna i zdrowa starość pana Sollohuba, jego umiejętność wystarczenia samemu sobie w nietatwych nieraz okolicznościach.

— Przepis na życie? Coś pan... Na życie to każdy musi sam dla siebie ułożyć przepisy...

Sprawa ta najwidoczniej mocno poruszyła pana Sollohuba, — zapomniał o depozytach, wpadł w tyradę...

— Panie, do czego to doszło? Teraz, jak ktoś jeździ na śliską drogę, albo nawet i na przestępczą, to wszyscy zaczynają szukać przyczyn zewnętrznych: a to, że klubu nie ma w miasteczku..., a to, że przed bramą czyha stręczycielka... a to, że niesnaski w rodzinie... I wszyscy, panie, mają rację, ale zapominają o najważniejszym: człowiek w końcu sam za siebie odpowiada! — I bezpośrednio do mnie z wyrzutem: — A wy, młodzi, chcecie tylko gotowych przepisów... Wy, młodzi, to...

Od calamusa do magnetonu

Dokończenie ze str. 5

Gdy jestem w stanie, dostarczam stenotypistce różne papiery: na pierwszy egzemplarz papier amerykański 9-funtowy (tzn. ryza waży 9 funtów), drugi 16-funtowy, potem dwie przebitki w dwu różnych kolorach i wreszcie na ostatni (piąty egzemplarz) papier 20-funtowy.

Jeśli nie mam amerykańskiego papieru, używam krajowego nr 3, przy czym przywiązany jestem do tego papieru w podwójnym formacie. Wówczas składa się po dwa arkusze na pół, między nie jako trzeci egzemplarz wkłada się przebitkę. Kiedy nawet taki komplet zdejmie się z maszyny i odłoży na bok nie segregując, zawsze jest możliwość w razie potrzeby dopisania lub poprawki — z powrotem taki komplet wkręcić mając pewność, że poprawka odbije się na kopiach we właściwych miejscach.

Chętnie wypożyczam przepisującym pulpit dla przepisywania, produkowany przez firmę Remington. Umieszcza się go przed oczami przepisywanego, specyficzną sztabką podkreśla tylko jeden wiersz — ten, który ma się przepisywać. Nastawia się „skok” założonego papieru na odległość jaką się chce między wierszami. Po przepisaniu wiersza za naciśnięciem lewarka wsuwa się automatycznie na sztabkę kolejny wiersz.

Czasem używam dla odbitek kserografu, ale przy większej ilości jest to zbyt kosztowne. Wprowadzie kserograf kosztował mi tylko trzydzieści dolarów, ale każdy arkusz kosztuje dziewięć centów.

Kończąc te przydługie (coż zrobić — warsztatowe) informacje o maszynie do pisania, zastanawiam się jakież to teraz jest do niej stosunek? Czy w dalszym ciągu poszlachecko-arystokratyczny („mam na to maszynistkę”)?

Ankieta z 1929 roku wykazała, że maszyny do pisania posiadało 32% pisarzy polskich, lodówek jeszcze nie było.

Ankieta 1959 r. wykazała, że 82% pisarzy miało maszyny i 24% lodówki.

Według ankiety z 1964 r. nastąpił fakt zadziwiający: liczba posiadających maszyny spadła do 78% podczas gdy posiadających lodówki urosła do 43%. Należy to chyba przypisać temu, że w okresie 1959—1964 liczba członków Zw. Literatów wzrosła z 773 na 948 członków, w czym wielu jest młodych, początkujących, nie mających pisarstwa jako źródło utrzymania, słowem — niezawodowych.

Melchior Wańkowicz

W 30-lecie wyzwolenia obozu na Majdanku

MOJ młody przyjaciel Waśka miał wzrok sokoli i fenomenalne wyczucie zbliżającego się esesmana — wspomina Franciszek Jackiewicz, autor pamiętnika o Majdanku. „Sokole oko” stał na „karaule” i pilnie baczył, czy nie nadchodzi obozowa władza, podczas gdy jego koledzy odpoczywali. Wasia zachorował. Gdy odchodził do obozowego szpitala, powiedział swojemu polskiemu koledze: „Ja was tak polubił jak swoją mat”. Obaj nigdy więcej się już nie zobaczyli.

Czas wojny i okupacji to czas szczególny, który nie oszczędzał pięknych rzeczy — ani pięknych charakterów. To, co zostało tu z ludzi, jest do rozpoznania — wyznaje Jerzy Putrament, pisząc o Majdanku. Zdanie to równie dobrze daje się zastosować do umarłych, jak i do żywych, tych, którzy ocaleli. Zniekształcenia psychiki ludzkiej to częsty problem prac o tematyce obozowej. Literatura obozowa Majdanka kreśli także portret człowieka „zlagrowanego”, myślącego kategoriami obozowymi i będącego wytworem edukacji obozowej, człowieka uprzedmiotowionego, który wyżył się przerażenia, wstrętu i pogardy. Ale daje ona też świadectwo istnienia postaw zgoła różnych — postaw ludzkich, dotyczących moralnych szczytów obozu, twardej i umiejętnej walki o samego siebie. Feliks Siejwa pisze, że więźniowie w obozie stanowili zwartą rodzinę, złączoną więzami o jakich nikt nie ma pojęcia w wolnym świecie.

Europa — tygiel światła; jak na żadnym innym kontynencie wydarzenia historyczne mieszały tu narody. Pola bitew, pola lagrów zacierają poczucie granic i narodowościowych odrębności. Najwyższym prawem stawał się sam fakt człowieczeństwa. Więzień, przyjaciel, brat, te słowa były sobie równoważne, jak w wierszu rosyjskiego jeńca z Majdanka:

Jesteśmy więźniami, bracia kochani
Zyjemy zamknięci jak zwierzęta w klatce
Ale przecież żyjemy i walczymy śmiało
z nieszczęściem
Jestem przyjacielem dla przyjaciół,
Jestem przyjacielem jasnej wolności
I życzę wszystkim, żeby takimi byli.

Cmentarzisko Europy, obozowa wieża Babel — to popularne określenia Majdanka. — Kogóż tu nie było? — wspomina Józef Korcz. — Byli Polacy, Rosjanie, Holendrzy, Niemcy, Jugosłowianie, Czesi, Grecy, Litwini, Żydzi, Ukraińcy. Wszystkie narody Europy podbite przez Hitlera miały tutaj swoich reprezentantów. Polaków i Rosjan było najwięcej, następnie szli Żydzi, Niemcy, Francuzi i inni. Wśród obywateli Związku Radzieckiego były chyba wszystkie narodowości republik radzieckich: byli robotnicy z Donbasu, z nad Dniepru i Berezyny, byli tutaj Sybiracy, Kazachowie i Kirgizi, Gruzini i mieszkańcy Mongolii.

Majdanek ma wyjątkowe miejsce w hitlerowskim systemie masowej zagłady ludzkości. Był to jeden z największych obozów o charakterze międzynarodowym, w którym znalazły śmierć setki tysięcy ludzi z 22 krajów. Za drutami Majdanka przebywali więźniowie około 50 narodowości. Człowiek, który dostał się do obozu, przestawał być człowiekiem, przekształcał się w przedmiot podlegający unicestwieniu. Na kurtce miał wymalowany olejną farbą trójkąt i literę oznaczającą narodowość więźnia. Człowiek mógł w obozie zapomnieć swego własnego imienia, ale oprawcy nigdy nie pozwalali mu zapomnieć, że jest słowiańską świnią, polskim bydłem, russische Schwein, albo Jude.

Literatura ukazuje obraz rzeczywistości obozowej jakby specjalnie utrzymanej w konwencji świata na opak; wszystko wypadło ze swoich torów, wszystko, co dawniej było wyjęte spod prawa — dziś znajduje uznanie. Dominującą rolę gra podstawowa jeszcze od starożytności zasada formalna: szeregowanie rzeczy niemożliwych, w tym wypadku jedynie pozornie niemożliwych, bowiem los więźnia od momentu przekroczenia bramy obozu staje się świadectwem funkcjonowania w rzeczywistości takiego odwróconego porządku natury. Istniejący faktycznie świat na opak jest przyczyną przerażenia duszy ludzkiej. Jawi się on raz jako sprawnie funkcjonująca fabryka śmierci, kierowana przez zwykłych ludzi, raz jako wynik działania sił nadludzkich, nadprzyrodzonych. Apokaliptyka, piekło XX wieku, ołtarz ofiarny — te określenia pojawiają się, protestując przeciwko przeniesieniu zbrodni z piekła na ziemię, zamianie szatanów na ludzi. Dla zrozumienia tego świata poszukuje się racji wyższej, wytłumaczenie zjawisk historycznych próbuje się znaleźć w płaszczyźnie ponadrozumowej. Następuje monumentalizacja i demonizacja zła. Powstaje więc pytanie, jak istniał człowiek w tym laboratorium nienawiści, gdzie mechanizm obozu jątrzył i podlegał wszystkim przeciwko wszystkim, a celem, który postawili sobie władcy obozowi, było: spodlić i znikczemnić duszę ludzką?

Szczególną rolę odgrywała w życiu obozu sprawa samoobrony psychicznej i fizycznej. Sądzę — wyznaje Andrzej Stanisławski — że w tym świecie szalejącej bez przerwy śmierci zbliżaliśmy się coraz bardziej do granic szaleństwa (...) Lecz myślę także, że nasz organizm sam instynktownie bronił się przed tym, kazał nam stwarzać sobie własny, wewnętrzny, intymny świat, w którym nie było pojęcia drutów kolczastych (...). Bo jedynie w zespole

dobrze dobranym można było obóz przetrwać, wzajemnie sobie pomagając.

E. R. Curtius pisze, że do topiki poetyckiej należą między innymi moce panujące nad życiem: miłość i przyjaźń, przemijanie. Ponieważ tematy te dotyczą praktycznych bytu, są ponadczasowe w mniejszym lub większym stopniu. Kształt epoki hitlerizmu i ludobójstwa wpłynął na swoiste uformowanie w literaturze Majdanka starego toposu przyjaźni. Ustaliła się pewna forma wspólnoty, zawierająca się w podmiocie: więzień. W izolowanym świecie obozu, rządzonego swoistymi prawami; traciła znaczenie obowiązująca powszechnie hierarchia wartości. Kawalek suchego chleba więcej znaczył niż złoty klejnot, a wprost bezcenną wartość miała pomocna dłoń innego człowieka. Feliks Siejwa wspomina, że podczas pobytu na Majdanku jako Schreiber otrzymał transport Greków — 38 osób. Przyszli bez obiadu, nie wydano im należnego chleba, byli głodni i zziębnięci, nie znający innego języka poza ojczystym. Autor wspomnień „zorganizował” dla nich jedzenie. Otrzymałem w tym tygodniu „stado” — pisze — sześć paczek z dwóch tygodni. W każdej przesyłce był chleb warszawski. Dysponowałem 8 bochenkami. Widzieli, że sięgnęłam po własne pudełka z chlebem. Podzieliłem równe porcje, dołożyłem po kawaleczku cebuli

o byt, ich zaradność, solidarność, mądrość i koleżeństwo. Jan Michalak wyznaje wprost: Miałem zaufanie do więźniów noszących literę „SU”, byli to współtowarzysze, którzy na Majdanku nieśli mi pomoc. Pamiętam dobrze, jak wiele razy Kostia i inni więźniowie radzili ratowali mnie od śmierci w tragicznych chwilach mojego życia. Słowo przyjaciel oznaczało Polaka, który podzielił się z Rosjaninem żywnością z otrzymanej z domu paczki, polskiego profesora, który na Majdanku z zawiątkiem artykułów spożywczych pod pachą często podążał między Kirgizów, Tadżyków czy Kazachów i tam uzupełniał swoje lingwistyczne wiadomości.

W warunkach obozowych słowo przyjaźń oznaczało czyn; ileż jest przykładów bezinteresownej ludzkiej ofiarności w ratowaniu życia innego człowieka! Był ktoś, kto podniósł skatowanego i bezsilnego ze słowami: Chadi! Chadi! Chadi! a nie to ubijut ciebia swoloczec faszisty. Dawaj niedaleko. Inny udzielił przestrogi i dobrej rady niedoświadczonemu, pomógł coś „zorganizować”, pomógł zwyczajnie przeżyć. Wśród dni obozowych były także i dni uroczyste, świąteczne. Ich atmosfera szczególnie sprzyjała brataniu się ludzi, nawet zupełnie sobie obcych. Opisy obozowych świąt znajdujemy w pamiętnikach Siejwy, Jackiewicza, Brzoski-Medrykowej.

Wieczorem na komendę Saszy — wspomina Jackiewicz — cały blok zebrał się w kolumnie. Stanęliśmy sprawnie w szyku piątkowym, prawie dwustu ludzi. Przed front kolumny wyszedł Piątkowski i w języku rosyjskim powiedział: — „Koledzy! My, Polacy, obchodzimy dziś wielkie święto, nasze polskie, tradycyjne. W dzisiejszy wieczór podzielimy się oplatkiem. Niech ten gest stanowi symbol braterstwa i szczerzej wzajemnej przyjaźni. Tę wieczór wigilijną musimy spędzić z dala od naszych domów rodzinnych, ale za to z wami, tu przy tych stołach nie nakrytych obrusami”.

Niektórzy koledzy rozumieli język rosyjski, toteż w kolumnie dalo się słyszeć pociąganie nosem, rzekomo wskutek przeziębienia. A on dalej mówił:

„Zyczymy wam z całego serca, żebyście wrócili do swego rodzinnego kraju, do swoich miast, osiedli i rodzin” — przemówienie zakończył wyraźnie wzruszony.

Z kolei zabrał głos Sasza, dziękując Polakom za serdeczny gest wobec Rosjan. Następnie po polsku podał komendę: jeden Polak, jeden Ruski. Utworzył się jeden rząd ludzi złożonych na przemian z Rosjan i Polaków, i wszyscy skierowali się do sypialni. Tu już wyznaczeni koledzy czekali przy stercie paczek. Pierwszą paczkę otrzymał Rosjanin, następną Polak, i tak kolejno, aż do końca. Jak byliśmy ustawieni, tak usiedliśmy przy stołach. Nastąpiło wspólne otwarcie paczek i dzielenie się ich zawartością.

Epizody przyjaźni cechuje silna waloryzacja emocjonalna, liryzacja i dramatyzacja wydarzeń. Wątki te są jednymi z podstawowych w utworze wątków tematycznych. Nad rozważaniami tego typu zawsze rozciągnięta jest optymistyczna perspektywa, dominuje gorąca wiara w człowieka, sens życia i walki przeciwko triumfującemu złu. Dochodzą do głosu elementy humanistycznej postawy, uderza wielkość i piękno człowieka, który się nie zlamal.

W tej historii przyjaciół Moskali są rozdziali; które można zatytułować imionami jej bohaterów: Kostia Kupcew, Waśka, Kola itd. Jakieś wspomnienie wylaniające się po latach: mroczny barak, na podłodze przytuleni do siebie więźniowie, a w środku stoi radziecki oficer deklamując wiersze Puszkina. Szary radziecki szynel i furazerka naciągająca na uszy — to starszy lejtnant Kostia Kupcew, podobno w cywilu był aktorem. Takich imion-rozdziałów jest wiele. Jeden z nich zawiera historię przyjaźni polskiego pisarza i radzieckiego doktora: Igora Newerlego i Włodzimierza Diegtiariewa — „chłopca z Salskich Stepów”. Inny — wzruszająca historia przyjaźni polskiej więźniarki Heleny Kurevuszowej i grupy białoruskich dzieci z kilku wsi Witebszczyzny.

Cechą charakterystyczną literatury wojennej — zwraca na to uwagę T. Drewnowski — w tym także obozowej, jest fakt, że dla oddania istotnych konfliktów naszych czasów nie znajduje tu zastosowania żadna ze stworzonych w kulturze europejskiej koncepcji tragizmu, ponieważ wszystkie one opierały się na istnieniu dwóch, przynajmniej względnie równorzędnych racji: władzy i jednostki, historii i moralności, zasadniczo różnych interesów społecznych (Sofokles, Szekspir, Engels). Sytuację więźnia charakteryzował brak alternatywy, niemożność dokonania jakiegokolwiek wyboru. Faszyzm starał się swoim ofiarom, całym wyniszczanym narodem odebrać możliwość honorowej walki i godnej śmierci. Starał się je uczynić bezimiennymi, upodlić, odebrać bodaj resztkę patosu w umieraniu. Ofiary chroni przed sproszkowaniem, odarciem z niezwykłości, jedynie heroizm ludzki i odzucie wspaniałocierpiących, ich bohaterstwo moralne i duch onoru.

Prawdziwa przyjaźń była bezcennym skarbem: łagodziła udrękę obozowego bytowania, przywracała wiarę w człowieka. Niecymierne są wartości takiej przyjaźni, tak jak niecymierne jest cena, którą przyszło nam za nią zapłacić — pisze jedyna z autorek wspomnień. Przyjaźń wyniesiona z drutów jest jakby obrubem diamentu — podjęta z popiołów tamtych lat.

DIAMENT Z POPIOŁÓW

Barbara Jadezak



Fot. Archiwum

i rozdałem. Trudno odtworzyć ich wdzięczność. Tak oddanych ludzi w życiu nie znałem. Tłumacz był zbędny, czytali każde życzenie z oczu. Słyszałem teraz często zniechęcone słowo „kapo” przepojone miłością (ta: mnie nazywali).

Bohaterami przyjacielskich epizodów życia obozowego są przedstawiciele różnych narodowości, także funkcjni w obozie. W pamiętnikach z Majdanka znajdziemy przykład Rumuna esesmana, który stał się z czasem wiernym przyjacielem więźniów, Czecha, który nie chciał być Niemcem. Zrobiono z niego Niemca, bo mieszkał na terenach przyłączonych do Rzeszy. Kapo Lukasz — bo tak się nazywał — nie bił, więcej: pomagał więźniom. Organizował wymianę grypsów, paczki, spotkania z rodzinami. Przeniesiono go do innego obozu już jako więźnia. Wśród zezwierzęconej gromady oprawców trafiali się Niemcy-ludzie, prawdziwi towarzysze. Nie było ich wielu, ale byli. Takiego kapo, starego niemieckiego komunistę, pełniącego te funkcje tylko dlatego, że już od dziesięciu lat był więźniem obozów hitlerowskich, odnajdujemy we wspomnieniach Danuty Brzoski-Medryk. Świadectwo o istnieniu mu podobnych znajdują się w pamiętnikach Stefani Perzanowskiej, Franciszka Jackiewicza, Stanisława Chwiejczaka, Tadeusza Czajki, Andrzeja Stanisławskiego.

Najliczniejsze grupy narodowościowe stanowił w obozie na Majdanku, jak już pisaliśmy, Polacy i Rosjanie. Między tymi nacjami dochodziło też najczęściej do zacieśniania związków przyjacielskich. W dostępnych mi relacjach pamiętnikarskich uderza ton podziwu i uznania ze strony polskich więźniów dla radzieckich towarzyszy. Podkreśla się ich osamotnienie w obcym kraju, a jednocześnie obrzymią siłą fizyczną i moralną w walce

NACZELNIK I INNI

Ireneusz J. Kamiński

O STATNIEGO dnia stycznia 1945 roku na Lubelszczyźnie zaginął bez wieści wojewódzki konserwator zabytków, Z. Knothe. Kierownik ówczesnego Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, będąc człowiekiem gołębiego serca, co mu ostatecznie nie wyszło na dobre, martwił się z powodu owego fatalnego wydarzenia, które nie miało precedensu w tradycji miejscowej administracji. Na domiar złego, to on właśnie, naczelnik i muzykolog w jednej osobie, podpisał konserwatorowi delegację służbową, która powinna skierować zabytkowego referenta do Białej Podlaskiej, gdzie czekała nań stara plebania i miły ksiądz-staruszek, skomponowany na wzór ryciny Andriollego. Niestety, czas był srogi, konserwator przepadł... Dopiero po upływie miesiąca do Lublina dotarły radośniejsze informacje. Otóż zyczliwi ludzie donieśli naczelnikowi, że konserwator żyje, można nawet powiedzieć, że żyje dobrze, na niczym mu nie zbywa, nic nie utracił. Trudno było bowiem utracić cokolwiek w pięknym majątku Cieleńca, otoczonym lasami, a tam właśnie bawił konserwator. Lęk o losy pracownika zamienił się więc szybko w głęboką irytację i naczelnik wystosował raport do wojewody, rekonstruując w piśmie znane nam wydarzenie. Do dziś dnia — żalił się — nie tylko nie przyjechał, lecz nawet nie nadesłał usprawiedliwiającego świadectwa lekarskiego. Mało tego, wczoraj nadeszła wieść, pochodząca od domowników ob. Knothe w Lublinie, że inż. Knothe podobno dostał gdzieś lepszą posadę. Wobec takiej bezczelności naczelnik domaga się zawieszenia w czynnościach konserwatora. Jakaś gniewna ręka przekreśla jednak to sformułowanie, wprowadzając na jego miejsce wniosek o zwolnienie z pracy.

Starzy ludzie wiedzą, że świat bywa nieracjonalny, a los okrutnie dowcipny. Bo oto na drugi dzień po wysłaniu owego raportu naczelnik Wydziału Kultury i Sztuki opuszcza stanowisko, natomiast konserwator — jakby nigdy nic — powraca do swego pokoju (nr 25) przy ul. Spokojnej 4, gdzie mieścił się wspom-

niany urząd, wyposażony w cztery osoby, trzy krzesła i jeden stół, a pozbawiony okna i telefonu.

Jednoaktówka z konserwatozem w roli pierwszoplanowej posiada swoją urodę i sens dydaktyczny, lecz nie takie względy doprowadziły do jej publikacji. Przede wszystkim uwzględniono jej ostrą wymowę ilustracyjną, dosadność symbolicznego charakteru. O co chodzi?

Rzecz w tym, że w okresie PKWN i w latach następnych kulturę w Polsce „robilo się” nieco po omacku, bardziej z żarliwych przekonań jednostek, mniej z konkretnych elementów rzeczywistości. Nie funkcjonował jeszcze sprawny system organizacji życia kulturalnego, dobro i zło w tej dziedzinie zależało od ludzkiej wyobraźni, zdolności improwizacyjnych, odwagi politycznej i najbardziej cywilnej, od tego, czy ktoś miał stosunki, czy trafił „na gorze” w odpowiednim dniu i godzinie. W sferze kultury od samego początku mocno zaznaczyli swoją obecność komuniści, działali ludowo i socjaliści, godną uwagi ruchliwość demonstrowali ludzie bez politycznego przydziału. W sumie była to przecież garstka, niewielka grupa entuzjastów, niosąca sprawę ważną, co podkreślano w oficjalnych wystąpieniach, lecz z konieczności wojennej, a później gospodarczej odkładaną jakby „na później”, kiedy nastaną spokojniejsze i bogatsze czasy. A przecież w tym właśnie okresie rytm życia kulturalnego był wcale szybki i autentyczny, choć na niektóre jego przejawy nie sposób patrzeć dziś inaczej, jak z pobłażliwością.

Etap „ludowej improwizacji” dopuszczał również sytuacje, które obecnie kwalifikowałyby się do wszczęcia postępowania dyscyplinarnego. Urzędnik administracji państwowej, który przez miesiąc nie pojawia się w pracy, albowiem za-

chciało mu się właśnie świeżego powietrza — no nie, takie zachowanie przekracza naszą wyobraźnię! W 1945 roku rozgrzeszono przecież delikwentów, albowiem brakowało ludzi do pracy, brakowało przede wszystkim fachowców. Na przeróżne „wyskoki” trzeba było patrzeć przez palce. Ten deficyt najostrożniej występował w administracji kulturalnej, głównie w starostwach.

30 października 1944 roku wojewoda lubelski polecił starostom natychmiastowe powołanie powiatowych referentów kultury i sztuki. Okólnik bez echa utknął w terenie. 15 listopada wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki zapytał powiaty, jak przedstawia się wiadoma sprawa. Przy końcu tego miesiąca 6 adresatów potwierdziło wykonanie polecenia wojewody, a z Krasnegostawu przybyła do nas obywatelka, pełna dobrej woli, która wylegitymowała się zaświadczeniem starostwa, iż jest referentką oświaty i kultury.

Sytuacja zmieniła się na lepsze w połowie grudnia 1944, kiedy to 12 powiatów chwaliło się działalnością referentów kultury i sztuki. Pięciu z nich posiadało dyplomy średnich lub wyższych szkół artystycznych, co szczególnie cieszyło wydział lubelski, czterech nauczało niegdyś w szkołach, profesję dwóch następnych kryły mroki tajemnicy, jeden ukończył gimnazjum matematyczno-przyrodnicze, a fakt ten zdawał się dyskredytować referenta w oczach lubelskich zwierzchników. Nie wiedzieli oni jeszcze, że Jan Gołc przede wszystkim zajmuje się problematyką ziemniaka, zboża i cukru, a sprawy kultury zostały mu po prostu wtrzywane przez starostę — bez dodatkowej zapłaty. W nieco lepszej roli występował Mikołaj Nachwać z Zamościa, który poza kulturą prowadził równocześnie referaty oświaty oraz informacji i propagan-

dy, co nawet dziwi, jako że już wówczas między kulturą a oświatą dochodziło do polemik na temat zakresu kompetencji. Najokazalej — potwierdziła to m.in. historia sztuki — prezentował się referent w Siedlcach, należących wtedy do Lubelszczyzny. Był nim Kajetan Sosnowski, znany dziś malarz, zastąpiony wkrótce przez Henryka Tomaszewskiego.

Referenci pozostawali w luźnych kontaktach z Lublinem, nie składali sprawozdań, nie prosili o konsultacje. Tym sposobem wydział wojewódzki słabo orientował się w problematyce kulturalnej terenu, ostatecznie — nie miał większego wpływu na to, co działo się poza Lublinem. Pracownicy wydziału rzadko zapuszczali się na prowincję, ponieważ nie dysponowali własnym środkiem lokomocji, a środki na delegacje były ograniczone. Cóż zresztą mogły zdziałać cztery osoby, zainstalowane przy ul. Spokojnej...

Jedyną efektywną formą wymiany informacji między Lublinem a powiatami okazały się wojewódzkie zjazdy referentów kultury i sztuki. Pierwszy odbył się 11 i 12 kwietnia 1945 roku, a jego przebieg znakomicie ilustrował stan świadomości ówczesnych działaczy kultury. Zachowany stenogram dyskusji zjazdowej uzmysławia zarazem hierarchię spraw i problemów, z którymi mieli do czynienia ci ludzie.

Delegat Ministerstwa Kultury i Sztuki, Witold Wronski, zauważył na wstępie, że dopiero teraz świat artystyczny urządzi życie artystyczne tak, jak uważa za potrzebne dla dobrej kultury polskiej. W danej chwili ministerstwo dąży do jak najszybszego opanowania chaosu. Następnie delegat poinformował o przebiegu prac nad projektem sieci ośrodków krzewienia kultury i sztuki w powiatach oraz zaproponował zamianę terminologiczną: za-

Lublin-Jassy

Jerzy Dostatni

PONIEWAŻ pociąg spóźnił się kilkanaście minut — na długiej trasie od Morza Czarnego w kilku miejscach prowadzono jakieś roboty na torach — przyjechałem do Jassy równo o północy. Z dwudziestu wagonów wysypało się ponad półtora tysiąca pasażerów, drugie tyle oczekiwało na peronie, bo po półgodzinnym postoju pociąg wracał przez Konstancję i Eforię do Mangalii. Wszyscy z bagażami, niemal połowa z dziećmi, zrobił się więc tłok potężny, jakby gęstniejący jeszcze przez dziesiątki nawoływani i przynajmniej setkę tranzystorów, odbierających muzykę z kilkunastu różnych radiostacji. No cóż, i tutaj jest szczyt urlopowy...

Na szczęście, mam w kieszeni telegram od redaktora naczelnego tamtejszego tygodnika polityczno-społeczno-kulturalnego — „CRONICA”, zawiadamiający, że w hotelu „Unirea” czeka na mnie pokój. Mały, beżowo-czerwony tramwaj wiezie mnie chyżo do śródmieścia, wszystkich trzy przystanki. Kilkunastopiętrowy budynek hotelu góruje nad wielkim placem, dość dokładnie zastawionym przez samo-

chody osobowe i autokary z rejestracją rumuńską, radziecką, czechosłowacką, NRD-owską, RFN-owską, włoską, angielską...

Nie, nie zanoszą się na żaden zjazd międzynarodowy. Dla turystów z Polski, Rumunia to tylko wybrzeże Morza Czarnego od Mamai po Mangalię. Tymczasem rumuńska Moldawia ze swoimi lasami, rzekami i jeziorami, górami i pagórkami, a przede wszystkim wspaniałymi zabytkami architektury i niezwykle serdecznymi ludźmi to obszar turystyczny bardzo ciekawy i chętnie zwiedzany. Więc miasto żyje nie tylko ze swojego przemysłu i funkcji administracyjnej stolicy obwodu (województwa), ale także z turystyki. Nie więc dziwnego, że nie tylko w hotelu czy w sklepie, ale po prostu na ulicy z co trzecim mieszkańcem można się porozumieć w jakimś języku. Najczęściej zresztą francuskim, jako że rumuński to język pochodzenia rzymskiego i wiele słów różni się tylko końcówkami.

Nasze kontakty — „Cronici” i „Kamenu” — nawiązały się całkiem niedawno w ramach przyjaźni, łączącej coraz ściślej Jassy i Lublin. Pewnego dnia do naszej lubelskiej redakcji przyszedł członek kolegium redakcyjnego „Cronici”, wykładawca UMCS — przed rokiem uruchomiono tu sekcję języka rumuńskie-



Jassy. Cerkiew św. Sawy XVI—XVII w.

Fot. Archiwum

go — i zaproponował wymianę międzyredakcyjną — materiałów i ludzi. Pojechałem więc do Jassy z tekstami o Lublinie i z Lublina by omówić formy dalszej współpracy.

Redaktor naczelny Liviu Leonte wita mnie bardzo serdecznie, obstawia wodą mineralną, kawą, winem i koniakiem. Spędzamy razem niemal cały dzień rozmawiając — jak to w takich przypadkach bywa — o wszystkim i o niczym. Mówi doskonałą francuszczyzną, przez dwa lata wykładał historię literatury rumuńskiej w jednym z uniwersytetów we Francji. Przegląda z zainteresowaniem kilka numerów „Kamenu”, ocenia pozytywnie stronę graficzną naszego pisma i zazdrości nam ma-

szyny rotacyjnej, gdyż jego „Cronica” drukowana jest, jak dawniej „Kamenu”, na maszynie płaskiej. Format mamy prawie identyczny, wiele takich samych rubryk.

I nagle niespodzianka. Podaje mi ostatni numer swojej „Cronici” z datą 26 lipca. Z okazji naszego święta narodowego ponad pół strony zajmują wiersze poetów polskich pod wspólnym tytułem „Lirica poloneza”. Są więc kolejno tłumaczenia wierszy Zbigniewa Janakowskiego, Zbigniewa Herberta, Haliny Poświatowskiej, Tadeusza Słowiaka, Stefana Flukowskiego i Jarosława Iwaszkiewicza. Tłumacz

miast mówić *amatorska praca artystyczna*, posługujemy się pojęciem *ochotniczej pracy artystycznej*. Po przerwie postanowiono odstąpić od ustalonego programu zjazdu. Wobec wiadomości, przywiezionych przez delegata, największy nacisk będzie położony na szersze zwrócenie się referentów powiatowych ze wszystkich gólczyk ich działalności. Jest to celowe, albowiem — zauważył dr J. Grabowski, likwidator MKiS w Lublinie — referaty powiatowe kultury i sztuki to jakby macki wysunięte w teren, które powinny czerpać i przekazywać informacje. Przenicowanie programu było zapewne rezultatem miernej orientacji delegata w problematyce kultury powiatowej, co zresztą zrozumiałe. Ostatecznie trwała jeszcze wojna, a reakcyjne podziemie przystąpiło do akcji zbrojnej.

Referent z Włodawy, Ernest Pełtrowski, pierwszy zabrał głos w dyskusji. Nie mógł zabezpieczyć dzieł sztuki — powiedział — *bo wszystkie foliarki w powiecie były już kompletnie obrabowane, początkowo przez Niemców, a później, w czasie działań wojennych, przez pospolitych rabusiów*. Na terenie powiatu brakuje inteligencji, a sam referent znajduje się w fatalnej sytuacji materialnej. Nie dysponuje samochodem, pieniędzmi na działalność kulturalną. Wadliwie działa poczta, nie ma gazet i głośników radiowych...

Przytaczanie innych wypowiedzi w celu uzyskania pełniejszego obrazu warunków, w jakich przyszło działać referentom kultury i sztuki, nie ma większego sensu. Te same sprawy, te same skargi... Może warto jednak zacytować słowa Wiktora Zina, pełniącego wówczas funkcję zastępcy referenta w Hrubieszowie: *Należałoby zabezpieczyć ciekawe zabytki ludowe w cerkwiach, opuszczonych przez ludność ukraińską...*

Na zakończenie zjazdu delegat ministerstwa obiecał zebrany, że *najętsze umysły pójdą w teren*, a ruch ochotniczy otrzyma mocne wsparcie. *Tworzy się centralna szatnia, szwalnia itp.*

Słowa te musiały być szczególnie mile Józefowi Nikodemowi Kłosowskiemu, który od półtora miesiąca kierował Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego. Działacz ludowy i pisarz, z pobudek ideowych i emocjonalnych najwięcej

uwagi kierował na wieś. Wszystkie poczynania wydziału — zapowiadał — mają zmierzać do *upowszechniania kultury i sztuki wśród najszerszych rzesz pracujących, tak wsi, jak i miast. Specjalną uwagę zwrócić się na wieś, która dotychczas była najzupełniej pozbawiona możliwości korzystania z tego bezcennego skarbcza, jakim jest kultura i sztuka*. W tym samym czasie Kłosowski zapowiedział ogłoszenie konkursu na sztukę „wiejską” i otwarcie kursu dla reżyserów teatrów ludowych. Przy jego wydatnej pomocy w maju 1945 roku powstało w Lublinie Koło Literatów Ludowych z Leonem Pokorą na czele, które weszło w skład Klubu Literackiego, kierowanego przez zarząd w składzie: J. Kleiner — prezes, F. Araszkiwicz — wiceprezes, Z. Mikulski — sekretarz, J. N. Kłosowski i M. Bechczyc-Rudnicka — członkowie. Nieco wcześniej powstał Wojewódzki Związek Teatrów Ludowych, którego prezesem został A. Frąk, wiceprezesem — J. Świerzy, członkami zarządu — P. Greniuk i J. Kurzątkowski.

Referenci kultury i sztuki w starostwach zmieniali się początkowo dość często. Stabilizacji kadrowej nie sprzyjał czas wojenny oraz uposażenie. Przeciętne zarobki pracowników administracji kulturalnej wahały się w ówczesnej walucie od 650 do 850 zł. Tylko naczelnik wydziału wojewódzkiego zarabiał 1560 zł, na co składały się następujące pozycje: uposażenie zasadnicze — 450 zł, dodatek wojenny do uposażenia — 430 zł, dodatek funkcyjny — 200 zł, dodatek wojenny do dodatku funkcyjnego — 280 zł, dodatek rodzinny — 200 zł. A kiecka damska kosztowała na targowisku 1500 zł.

Ruchliwość kadrowa zmalała nieco w połowie 1945 roku. Wtedy też zaczęły przybierać kształt realny plany i pragnienia Kłosowskiego: *wyjscie z miasta ogniskującego wszystkie przejawy i formy kultury artystycznej i sztuki na wieś, do osad, miast i miasteczek*. Wartościowe rezultaty osiągnęły przecież tylko te ośrodki, w których funkcję referenta kultury pełnili autentyczni działacze, a tradycje amatorskiego ruchu artystycznego nie zostały zatarte podczas wojny.

Stanisław Misakowski

Ojciec uraczył nas wysoką nadzieją:
jednego wieprza mówi
plus worki pszenicy
do miasteczka zawiozę

tom
kupię sobie na powrót
pełne szczebiotu i pieśni
radio
Zocha z zachwytem celebryta mazura
ja
ćwiczę swoje palce
do kręcenia galek —
wszystkie kontynenty postawię na baczność

babcia wskazuje ikonę
ostrzeż przed bogiem
któremu ze starości
łuszczy się skóra
do samego drewna
myślę:
gdy regulator
otworzę na całe gardło
nie wytrzyma nasz bozia
rozsypie się
w proch się obróci

Dziadek Hieronim miał swoje zasady —
codziennie
razem ze słońcem
wychodził w pole
rozsiawać pozłotę jesieni

nie odstępował od tego rytuału
nawet zimą
kiedy leniwe słońce
długo nie chciało przetrzeć oczu
wtedy mówił:
niech se pości
tera zimno
wy też spijta
pódę zobaczę
czy konie są nakarmione
czy wóz dobry

jesteś stary
po co ci to dziadku —
wołał mi
ale on wciąż swoje —
pódę zobaczę

wczesną wiosną dziadek leżał na wozie
szliśmy za nim do samego cmentarza
drugiego dnia
na tym wozie
jechał mi w pol
zosić zboże

Anatol Ghermanschi tak przekazał początek „Nieba” Iwaszkiewicza:

Cumplita vreme cazu
Cu teama si ger,
Si cu nea.

Si oriunde-ai porni,
In intimpinare
Doar vintul

Następne dni — to zwiedzanie Jass i jego bliźszych oraz dalszych okolic. Miasto ma około 200 tys. mieszkańców, połowa budynków powstała już w okresie powojennym. Jakoś szczęśliwie uniknięto tu tzw. okresu oszczędnościowego, nie żałowano miejsca na place, ulice, skwery. Sklepy duże i bogato zaopatrzone, odpowiednik naszego PDT niemal dwa razy większy i z ruchomymi schodami. Nie tylko w lokalach gastronomicznych, ale w najmniejszym nawet kiosku każdy podaje się z lodówki lub z lodu — jak zresztą w całym kraju. Wspaniale pomidory po 2 leje kilogram — mniej więcej 4 złote, brzoskwinie po 5,60 lei.

Nie jestem znawcą sztuki i nie potrafię przekazać urzekającego piękna co około stu cerkwi, monastyrów i kościołów, znajdujących się w mieście i jego najbliższych okolicach. Zapamiętałem tylko, że najstarsza cerkiew pochodzi z XV wieku, ale zachowały się także fragmenty starszych, jak również murów obronnych, otaczających niegdyś gród. Wspaniały pałac książąt moldawskich z XVII w. to dziś bogate muzeum malarstwa, rzeźby, sztuki ludowej, a wśród twórców nie brakuje nazwisk czysto polskich. Wszystkie te obiekty są troskliwie konserwowane, systematycznie odnawiane. Daje na to pieniądze państwo, dają władze lokalne, środki zwiększają się jeszcze przez to, że za wejście płaci się wszędzie; przy setkach tysięcy turystów rocznie robią się z tego pokaźne sumy.

Któregoś dnia idziemy do teatru — tego samego, którego zespół przed trzema laty prezentował w Lublinie dwie sztuki. Od kilku miesięcy teatr jest nieczynny. Stary, gotycki budynek już się niemal rozlatywał — podmywała go woda podskórna, część murów przeżarł grzyb. Dyrektor teatru na rok zamienił się w fachowca budowlanego i konserwatora, osobiście dogląda każdego szczegółu. Razem z projektantem zapuszcza się nawet na dno dwunastometrowego wykopu pod fundamentami, gdzie zakłada się jakieś instalacje odwadniające. Dosłownie poprzez przysłowiowy las rusztowań, między drabinami, workami cementu i pracującymi robotnikami przeciskamy się na scenę, gdzie właśnie odbywa się kolejna próba fragmentów jakiejś komedii. Mimo moich wątpliwości dyrektor zapewnia, że premiera, zgodnie z planem, odbędzie się w połowie września.

Po południu jedziemy łązkiem kilka kilometrów za miasto. Mijamy dwie duże fabryki włókiennicze, wytwórnię antybiotyków i coraz bardziej stromymi serpentynami pniemy się już teraz wśród lasów coraz wyżej i wyżej. Wreszcie stajemy na wielkiej polanie, której środek zajmuje wieża telewizyjna, transmitująca program z Bukaresztu. Jedno ze zboczy jest dość prowidzarycznie ogrodzone, tablice informują, że to rezerwat roślinny. Tuż obok dwa parterowe, kolorowe domki. Gospodarz jednego z nich — przyjaciel mego cicerone — wygląda ciekawie poprzez liście winorośli i szerokim, przyjaznym gestem zaprasza na werandę. Za chwilę zjawia się na stole jedna, potem druga i trzecia buteleczka wina własnego wyrobu. Wytrawne, delikatne, pach-

nące. Z werandy — wspaniała panorama na olbrzymią kotlinę, w której rozłożyły się Jassy. Po drugiej stronie taki sam łańcuch wzgórz, porośnięty gęstym lasem. Chciałoby się tu posiedzieć dzień, dwa, cały tydzień, w słońcu, ciszy, wdychając soczyste, pełne tlenu powietrze. Traiasca Rominia! — wznoszę toast z okazji bliskiego już 23 sierpnia, kiedy to mijają 30 lat od powstania Rumuńskiej Republiki Ludowej. Traiasca Republica Populara Polona! — odwzajemniają się gospodarze, przypominając 22 lipca.

Od terazniejszości przeskakujemy do przeszłości. Gospodarz przypomina, że to właśnie nasz hetman Jan Zamojski nie cieszył się w Rumunii specjalną sympatią. Prawda, że z naszego, polskiego punktu widzenia pragnął zabezpieczyć się od południa przed najazdami Turków i na tronie moldawskim osadził Jeremiego Mohyle, lennika Polski, ale z ich, rumuńskiej strony, sprawa wyglądała tak, że gospodarz wołoski Michał Waleczny nie mógł doprowadzić do końca swojej idei zjednoczenia księstw naddunajskich. Ponieważ jednak nasze wspólne wiadomości na temat tego skomplikowanego okresu czasem zbieżnych, czasem różnych interesów obu narodów okazują się niewystarczające, dochodzimy wspólnie do wniosku, że czas już, aby polscy i rumuńscy historycy przystąpili wspólnie do pracy. Uniwersytet w Jassach i nasz UMCS nawiązały już bliskie stosunki i nie nie stoi na przeszkodzie, aby zająć się dokładniej tymi sprawami.

A nowy dowód tej uniwersyteckiej współpracy mam właśnie nazajutrz. Do Jass przyjechała grupa je-

denastu studentów i studentek UMCS, którzy studiuja filologię romańską, konkretnie — język rumuński. Przyjechali tu na trzy tygodnie, aby doskonalić się w znajomości języka. Opiekunem ich jest dr Trocin, też współpracownik „Cronici”, absolwent polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego.

Spotykam się z naszymi studentami w domu akademickim, gdzie mieszkają, zwiadamy razem część miasta, wieczorem słuchamy wspólnie muzyki w pięknym parku.

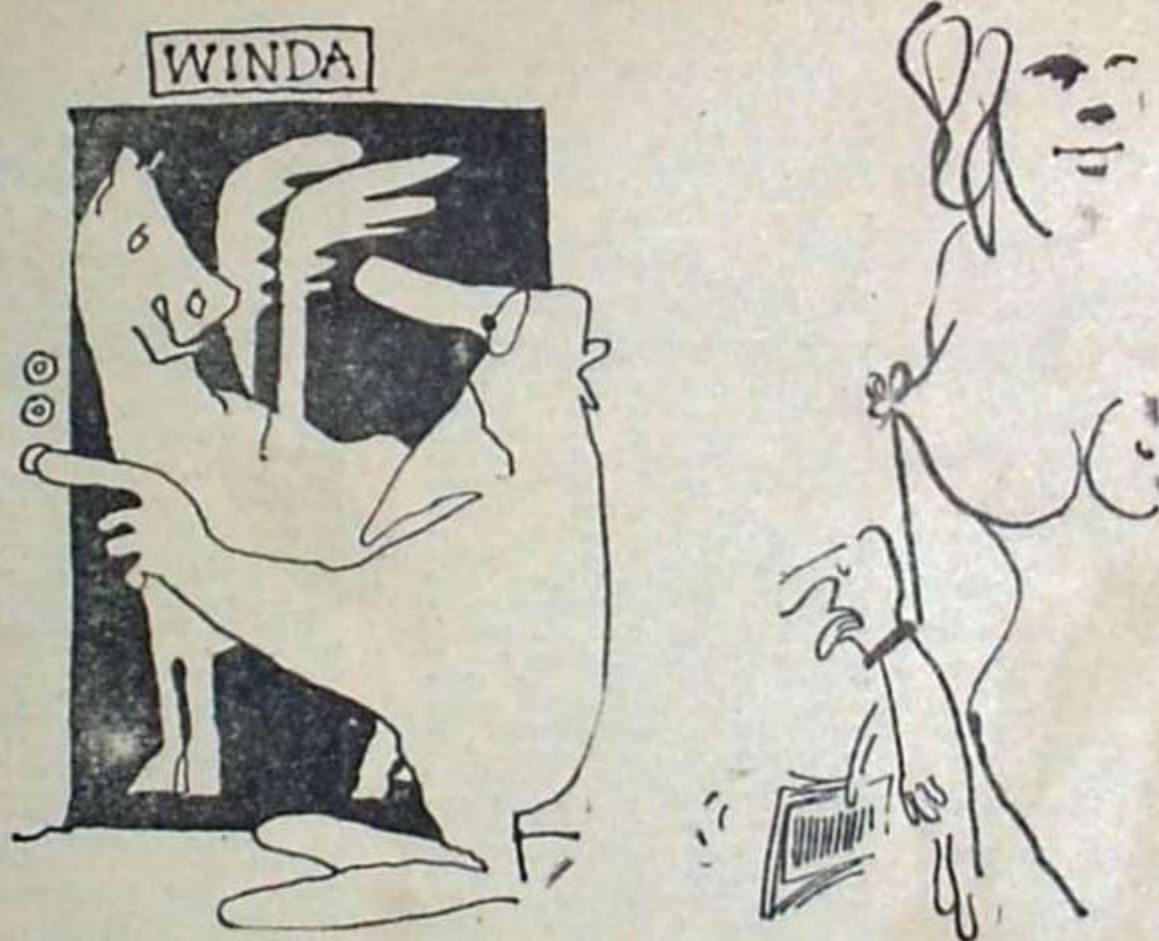
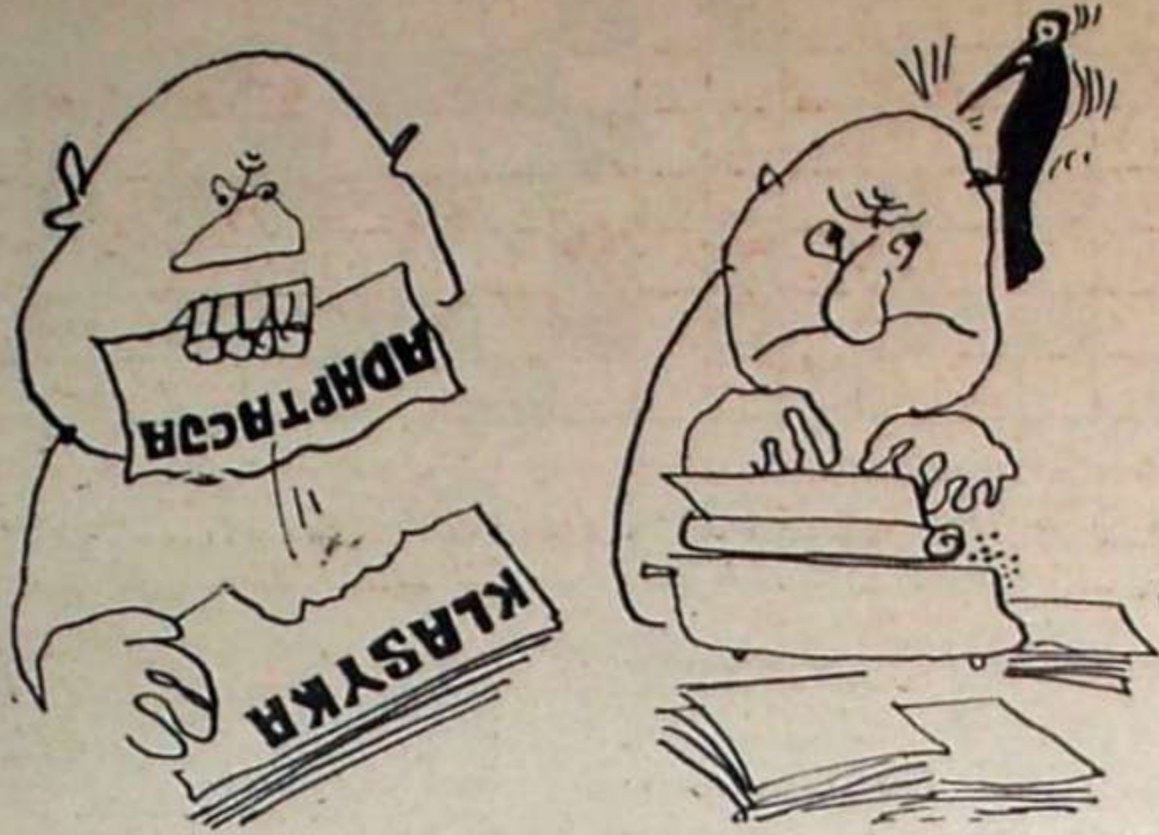
Przed moim hotelem, jak codziennie od godziny 18 do północy, kilka grup mężczyzn, razem około 200 osób, zawzięcie o czymś dyskutuje. Okazuje się, że to kibic sportowi, ci najbardziej zapaleni. Stało się już tradycją w Jassach, że zbierają się tu codziennie i omawiają zwycięstwa i porażki swoich ulubieńców, głównie zresztą chodzi o piłkarzy. Od czasu do czasu wpadają do pobliskiej kawiarni na 10-ty lub piwo i natychmiast wracają. Wydaje mi się, że chodzi tu nie tylko o przekonanie ewentualnych przeciwników, ale także, a może przede wszystkim, o samą przyjemność dyskusji, konfrontacji poglądów...

Jeszcze w tym roku w „Kamieniu” ukazały się dwie strony tekstów, nadesłanych przez rumuńskich przyjaciół z „Cronici”. W przyszłym roku redaktor Leonte będzie naszym serdecznie witany gościem. Grono naszych przyjaciół w Jassach powiększa się. Liviu twierdzi, że w Lublinie jest coraz więcej przyjaciół Jass. Ma rację.

OSTATNIA STRONA

(Nie dla uczestników Jubileuszowej Sesji Pisarzy w Lublinie)

Pegaz dęba!



Rysunki Ludwika Szaleckiego

Sennik egipski

- Korona — spełnione nadzieje
- Korek — niesłuszne oskarżenie
- Korkociąg — niebezpieczeństwo
- Korytara — z trudem dojdiesz do celu
- Koryto — intratna posada
- Korzec — zyski przy oszczędności
- Korzenie — silna, trwała pozycja
- Korzenie obcinać — niszczyć czyjeś dobro
- Korzenie wykopywać — zmudna praca, która przyniesie stratę
- Kosa — dobrobyt
- Kosiarze — zyciwi ludzie
- Kosić — wydatna praca
- Kosium nowy — dobre samopoczucie
- Kosium zniszczone — smutek
- Kostnica — doznasz złego przyjęcia
- Kość słoniowa — bogaty, możny protektor
- Kości — praca
- Kości ogryzać — bieda zajrzy ci w oczy
- Kości rozrzucić — lekkomyślne wyczyny
- Kości palić — melancholia
- Kościotrupa widzieć — grabież, rabunek
- Kosz napięty — bogactwo
- Kosz z kwiatami — szczęście w miłości
- Kosz zamknięty — nie tykaj cudzej tajemnicy
- Kosz pusty — miłość bez wzajemności
- Kosz pleść — mozolna nauka
- Kosztorys — śmiałe plany na przyszłość
- Koszula nowa — dobrobyt
- Koszula brudna — choroba
- Koszula podarta — niepowodzenie
- Koszule prać — uważaj, abyś honoru nie stracił
- Kot — fałszywy przyjaciel
- Kot czarny — nieszczęście w domu
- Kot drapiący — niewdzięczność ludzka
- Kot, głaskać go — zadowolenie na krótką metę
- Kotara — zmartwienie, choroba
- Kotlety przyrządzać — kłótnia w domu
- Kotlety jeść — zadowolenie
- Kotły — nieporozumienie
- Kotwica — unikniesz niebezpieczeństwa
- Kowadło — korzystne zajęcie
- Kowadło, kuć na nim — dobrobyt
- Kowal przy pracy — ciągle troski
- Koza — skromne dochody
- Koza, doleć ją — wyzyskasz biednego
- Kozy w stadzie — niewielki spadek
- Kozie mleko pić — powrót do zdrowia
- Kozioł — niesympatyczne towarzystwo
- Kozły wywierać — będziesz się wstydzil swego czynu
- Koźuch — niedola ludzka nie wrzuci cię
- Kra lodu — niebezpieczeństwo
- Kradzież popełnić — niegodny czyn
- Kradzież, być okradzionym — niepotrzebne zmartwienie
- Krajobraz oglądać — przyjemna podróż
- Krakanie słyszeć — niepowodzenie
- Kram — dużo pracy, mało zysku
- Krata — zły, niegodny czyn
- Krawat wiązać — choroba
- Krawat rozwiązywać — trudności w interesach
- Krawiec — mozolna praca
- Krawcowa — troska z ciągłymi wydatkami
- Kreda — robienie długów, niepokój
- Kredens wypełniony — dobre interesy
- Kredens pusty — daremne wysiłki
- Kredyt — wyzysk, fałszywa pomoc
- Kregle — niepewne spekulacje
- Krem jeść — krótkotrwałe zadowolenie
- Kremem smarować się — złośliwość ludzka dokuczy ci
- Krepcę nosić — smutek, choroba
- Krepcę widzieć — złe nowiny
- Kret — niepowodzenie
- Kretowiska — szkody wyrządzone przez podstępnych ludzi
- Krew — wiadomości od rodziny
- Krew czarna — choroba
- Krew skrzepła — przykry wypadek
- Krwia płuć — troski
- Krew zwierzęca — dobre interesy
- Krew z nosa — ostrzeżenie przed kradzieżą
- Krewny, przyjazd — domowe intrzygi
- Krewny, obcować z nim — spory majątkowe
- Krochmal — popełnisz głupstwo, które przyniesie następstwa
- Krępować kogoś — niewinne posądzenie
- Krępować siebie — wstyd
- Krokodyl — wielkie niebezpieczeństwo
- Król — dobre interesy
- Królowa — pomysłowość we wszystkim
- Kromka chleba — braki pieniężne
- Królik — niepewne zarobki
- Królik biały — radosne spotkanie
- Królik czarny — smutek
- Królika jeść — zaproszenie na ucztę
- Królika zabijać — straty w interesie
- Kropidło — niespodzianka
- Kropielnica — strapienie

(Dalszy ciąg nastąpi)

MARTINA WSZYTKOWA



SMAK

MIŁOŚCI I ŁEZ

Tę powieść (!!) drukujemy w autonomicznej rubryce „Poste Restante”. W poprzednich odcinkach autorka opisała perypetie związane z Zuzanna. Sprawa jest nadal nie wyjaśniona: dziewczyna trwała się rzeczywiście, czy też zamierzała zaszantażować Mariusza? Na razie o tym się nie dowiemy, gdyż na pierwszy plan wysunęła się Nina, siostra Mariusza. Robert, jej niemal oficjalny narzeczony, nalega na małżeństwo. Nina proponuje je odłożyć. Robert, niezadowolony, pod byle pretekstem zostawia ją samą na ulicy. Wówczas podchodzi do niej Krzysztof, znajomy Barbary i Mariusza, ten sam, którego Nina widziała już raz w „Powszechnej”. Dla uważnych czytelników „Smaku” wszystko to jest z pewnością jasne.

— Czego pan ode mnie chce?
— Niczego. — Krzysztof nie tracił tupetu. — Mamą razem studiować medycynę.
— To już słyszałam. — Nina jak najszybciej chciała pozbyć się intruza.
— Dzisiaj mamy 30 września, a więc jutro uroczysta inauguracja. Boł się pan!

— Czego? Naprawdę nie mam ochoty z panem rozmawiać.

— Nie ma pani ochoty, a już pani zadała mi dwa pytania. Wstąpmy na moment do „Regionalnej”, wypijemy po małej kawie, a ja pani hurtem odpowiem. Zaprzyjmiłem się trochę z pani bratem...

— Wtedy w „Powszechnej” nie wyglądało na to. Obawiałam się, że się pobijecie.

— Widzi pani! Kto się lubi, ten się czubi. Jesteśmy więc na najlepszej drodze do nawiązania trwałej przyjaźni. Ma pani w tym mieście aż tak wielu znajomych? A przecież wspólnie wypita kawa do niczego nie zobowiązuje!

Nina uległa. Kiedy później wracała myślami do tego momentu, była pewna, że nigdy nie weszłaby wówczas z Krzysztofem do „Regionalnej”, gdyby nie zachowanie Roberta, który tak niespodziewanie zniknął w bramie. Znaleźli wolne miejsce przy stoliku.

— To lubię — powiedział Krzysztof. — Strasznie się złościę, kiedy muszę kogoś długo prosić. A muszę przysiąc, że chciałem z panią porozmawiać. Na przykład taki temat: Mariusz. Żal mi chłopca. Zagmatwał się i nie wiem, jak z tego wszystkiego wybrnie. Ma pani jakieś zdanie?

— Wie pan, wolałabym nie mówić o Mariuszu. Nigdy nie lubię mówić o kimś, kogo w danym momencie nie ma.

— Doskonale. Szanuję pani zwyczaje. Jeden temat mamy z głowy. Ale... ale... Pytała mnie pani na wstępie, czego chce od pani? Po prostu pani mi się podoba.

Nina uczyniła ruch, jakby chciała ustać od stolika. Krzysztof chwycił ją za rękę.

— Niechże pani da spokój! Przecież nie chciałem pani urazić! A czy to uszka zbrodnia, że pani mi się podoba? Milcząca. Starła się sama przed sobą ukryć, że te słowa sprawiły jej przyjemność. Krzysztof musiał to zauważyć...

— Już wtedy w „Powszechnej” zwróciłem na panią uwagę. Ale była pani pilnie strzeżona. Ten pan, który tak się do pani upatrzył, to kto? Sympatia?
— Za dużo chce pan wiedzieć.
Keinera przyniosła kawę.

— Nie chce pani udzielić wszechstronnej informacji? Dobrze, sam się wszystkiego dowiem. To może zapytam panią o co innego: dlaczego wybrała pani studia medyczne?

Nina uśmiechnęła się. Po raz pierwszy tego dnia.

— Wie pan, cokolwiek powiem, będzie to brzmiało bardzo sztucznie. Lubię pomagać ludziom. Sama miałam trudne dzieciństwo.

— O Jezu! Trudne dzieciństwo! A kto z nas miał łatwiej? Każdy truje o trudnym dzieciństwie.

— Sam pan widzi, że to, co powiedziałam, zabrzmiało sztucznie. Co to za księżeczka? — spytała chcąc znów zmienić temat.

— Wiersze Leśmiana.

— Lubi pan poezję? To dziwne. Nigdy bym pana o to nie posadziła.

— Dlaczego? Ja nawet znam jednego prawdziwego poetę. Należy do grupy „Samsara” i nosi piękną brodę. Co ja mówię — jednego! Kiedyś udało mi się poznać Aleksandra Rozenfelda. Proszę sobie wyobrazić, że od pierwszego wejścia zaczął mi mówić po imieniu. No to jak on do mnie „stuchaj Krzysztof”, to ja do niego „stuchaj Olek”. Może kiedyś panią z nim zapoznam, chociaż nie... Jeszcze mi panią odbije!

— Widzę, że pan się obraca w artystycznym świecie!

— Znam też jednego dziennikarza. Kiedyś drukował w „Sztandarze” i podpisywał się jako emerytowany major. Przeniósł się do Warszawy i wszelki stuch po nim zaplątał.

— Coraz lepiej. Proszę mi pokazać ten zbiorek Leśmiana.

— To może ja pani lepiej przeczytam fragment pewnego wiersza?

— Proszę bardzo.

Zazdrość moja bezsilnie po łożu się miota!
Kto całował twoje pierś, jak ja, po kryjomu?
Czy jest wśród twoich pieczęci choć jedna pieczęć, która...
Której, prócz mnie, nie dotąd nigdy i nikomu...

Nina zacerowała się gwałtownie.

(cda)